Nr. 14. Warszawa, dnia 21 Marca (2 Kwietnia) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Umowa z Chinami.

Oddawna zapowiedziane zajęcie Portu Artura i Talienwanu jest już faktem. Rząd chiński, pozwoliwszy wprzód flocie rosyjskiej na przezimowanie, po długich namysłach i walkach wewnętrznych strachu z odwagą, pozwolił Rosyi zająć oba porty na stałe, nie zrzekając się wszakże zwierzchniczych praw swoich, ani do samych przystani, ani do terytoryów okolnych. Stosunek przyobleczono w formę podobną do użytej przez Niemcy dla opanowania Kiao-Czau. Cesarz chiński wydzierżawia dane miejscowości półwyspu Liao-tong na lat 25, przyznając Rosyi prawo przedłużenia dzierżawy, jeśliby chciała jeszcze po roku 1923 z niej korzystać. Z dwu przystani Port Artura, Tulon chiński, ma pozostać warownią dla wyłącznego użytku Cesarstwa Rosyjskiego, Talienwan staje się wielkim portem wolnym, otwartym dla flag i interesów handlowych tych narodów, które żyć będą w przyjaźni z Rosyą. Oba wręby morza w ląd Liao-tongu na owych wodach surowego mroźnego wschodu mają nieocenioną wartość: nie zamarzają wcale zimą. Ważną tę w dziejach świata umowę dzierżawną podpisano w Pekinie w niedzielę d. 27 marca.

Według treści umowy, podanej przez *Goniec Urzędowy*, prócz portów samych i zaokrąglających je obszarów lądowych i morskich na półwyspie, który półczwarta roku temu rozbrzmiewał wrzawą wojenną Japończyków, Chiny wydały jeszcze i pas ziemi, potrzebny na przeprowadzenie dróg żelaznych od części wielkiego traktu syberyjskiego, zwanej koleją mandżurską czyli wschodnio-chińską — a mającej połączyć drogę zabajkalską na zachodzie z ussuryjską, wiodącą już ponad sam ocean Spokojny, na wschodzie — do obu punktów 25-letniej dzierżawie uległych. Sama kolej mandżurska na mocy dawniej jeszcze zawartej umowy z umyślnie po wypadkach r. 1894 wytworzonym Bankiem chińsko - rosyjskim, otrzymała również potrzebną dla siebie wstęgę terytoryum chińskiego, które z samej natury rzeczy, z zasady rzymskiej *accessio sequitur principale*, musi przejść pod prawo ex-torytoryalności — i przestaje być chińską. Niezmierna ważność kolei, mających przerznąć krainę mandżurską wraz z półwyspem, znaczenie ich strategiczne, handlowo i wogóle cywilizacyjne — sprawią, że ten ostatecznie stanie się właścicielem Mandżuryi, do kogo należeć będą żelazne ścieżki tej największej bohaterki XIX w., pary. Kolej mandżurska ma być gotowa na lato 1903 r.; odrośle jej południowe ku Morzu Żółtemu zaraz z obecną wiosną puszczą pierwsze pędy. Za kilka lat już świst lokowotywy zakłócać będzie pośmiertny sen władców, pochowanych w grobach dynastyi mandżurskiej, w odwiecznym Mukdenie.

Okólnik rozesłany po podpisaniu umowy przez p. ministra spraw zagranicznych zawiadamia wszystkie mocarstwa o zawiązanym z Chinami stosunku, dodając, że zajęcie nastąpi bezzwłocznie, a po zajęciu flaga chińska powiewać będzie obok rosyjskiej. Mocarstwa zawiadomienie przyjmą w sposób zwykły w dziejach: zastosują postępowanie swoje do faktu spełnionego, dając mu milczące lub głośne uznanie. Tylko Anglia i Japonia zajmą stanowisko nieprzychylne; ale wątpliwem jest nawet, czy niechęci swej dadzą jaki jawny wyraz. Wiadomość o umowie z d. 27 z. m. wzburzyła opinię polityczną Anglii; *Times* zamieścił gorący artykuł, odbędzie się niejeden *meeting*, padnie może jedna, druga mowa w parlamencie; ale burzy, nawet wichru nie będzie, co najwyżej — lekki wiaterek. Dziecinne tylko politykowanie mogłoby przywiązywać jakąkolwiek wagę do doniesienia, które uprzedziło podpisanie umowy z delegatami Tsung-li-jamonu, że flota angielska odpłynęła z Hongkong na północ. Nie urządza się demonstracyi, gdy się ma przed sobą potęgę. P. Curzon, niezmordowany *miles gloriosus* rządu angielskiego, będzie miał trochę kłopotu w Izbie niższej, ale ostatecznie z niego wybrnie. Jego-to własna wewnętrzna sprawa; od powodzenia porośnie w pierze — ale tylko on sam; Anglii nic nie przybędzie. Drzwi już zatrzaśnięte, i pukaniem nikt ich nie otworzy.

Już po fakcie rozniósł telegraf wiadomość, że Japonia zaproponowała mocarstwom wydzielenie sobie wzajemne sfer wpływów politycznych w Chinach — oczywiście, na pomorzach. Co odpowiedzą Rosya, Francya i Niemcy — bo do nich tylko mogła zwrócić się Japonia? Nie uznają podziału za potrzebny. Obie sfery już zatoczone: wpływów rosyjskich i wpływów

niemieckich, jako też zarysowująca się już sfera wpływów francuskich na południu—najzupełniej zadawalają tych, którzy je sobie sami wydzielili, nie pytając ani Anglii, ani Japonii. Niema i nie będzie sporów między nimi, ani o granice, ani o interesa, dopóki sfery mają obecną objętość. Propozycya Japonii może mieć tylko to znaczenie, że i ona pragnęłaby na lądzie chińskim dostać jaką dzierżawę. Ujawnioną umowę o oba porty i kolej uzupełniać musi inna zasadnicza: przynosząca poddanie się polityki chińskiej, zastrzeżenie, że bez pozwolenia Rosyi Chiny żadnej zgoła politycznej korzyści żadnemu innemu mocarstwu nie zapewnią. Ostatni ustęp noty zeszłotygodniowej o Korei rozwiać musiał wiarę Japonii, iż jej kiedykolwiek uda się odzyskać wpływ na półwysep, stanowisko przed wojną 1894 roku zajęte; zyskanie zaś choćby piędzi ziemi koreańskiej byłoby tylko mrzonką, polityce poważnej uwłaczającą. Dawniejsza jeszcze zapowiedź pozostania w Wei-hai-wei nawet po otrzymaniu kontrybucyi od Chin—dziś już należy do archiwalnej przeszłości. Chiny-to mogą jeszcze zażądać ustąpienia, nie płacąc nawet całkowitej kontrybucyi, i Japonia będzie musiała ustąpić.

Tak się już ukształtowały wielkie potęgi świata politycznego na dalekim Wschodzie.

Tydzień polityczny. Wydzierżawienie Portu Artura i Talienwanu, wraz z pozwoleniem na budowę dróg żelaznych od kolei mandżurskiej do obu portów — zajmuje świat polityczny poważniej i głębiej, niż wrzaskliwszy od umowy rosyjsko-chińskiej zatarg między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonymi. Z zatargu nie będzie wojny, a jeżeli będzie, to nieszkodliwa, pojedynek raczej dla honoru, niż walka dla zdobyczy; z umowy zaś będzie nowa przyszłość, nowe dzieje świata, nietylko na samym tym dalekim Wschodzie, któremu bezpośrednio i bezzwłocznie nowy układ stosunków gotuje przewrót poważny ale stateczny i nieodwrócony. W sporze między wielką rzeczpospolitą a monarchią iberyjską rozmiętnienie Amerykanów w kongresie jest rzeczywiście silnem, a duma narodowa Hiszpanów nie na żart zadraśniętą; ale wojowniczości ani drugie państwo w sobie nie ma, a prócz zabiegów dyplomatycznych — pp. Gołuchowskiego i Hanotaux — niedostateczne jeszcze skrystalizowanie się interesu, jakiegoby Stany Zjednoczone orężem bronić chciały i musiały, pozwoli przewidywać ugaszenie pożaru, przed dostaniem się ognia do prochu. Zatonięcie, wybuch, zniszczenie kilka tygodni temu okrętu „Maine“ w przystani hawańskiej, według raportu komisyi amerykańskiej, miało przyczynę zewnętrzną: stąd domniemanie, technicznie uzasadnione, działania miny podwodnej, zbrodniczo albo lekkomyślnie wbrew zwyczajom międzynarodowym założonej; port hawański bowiem nie jest wojennym, a w danym punkcie żegluga nie była zatamowaną. Orędzie prezydenta odwołało się przecież do sprawiedliwości i miłości królowej-regentki dla ludu hiszpańskiego, a chociaż gen. Woodford w Madrycie nacierał, a Sagasta odcinał mu się dość ostro, do właściwego naprężenia wojennego nie przyszło. Skończy się pewno zatarg wynagrodzeniem szkód, wstrzymaniem wojny na Kubie, ustępstwami rzeczywistemi dla powstańców i humanitarną opieką Stanów nad srodze spustoszoną, ogłodzoną wyspą.

Siły morskie obu państw są prawie sobie równe—niewielkie, ale Hiszpania nie ma pieniądzy, a nie dostanie ich na tę wojnę.

Gabinet Sagasty po rozwiązaniu dawnych kortezów ma już nowe. Dotychczas na 432 wybranych podobno jest 330 rządowych: uderzający przewrót. Ale w Hiszpanii od głosu wyborców silniejszą jest pięść prefektów; każdy gabinet ma takie kortezy, jakie mieć chce: dobra wolności dobre wychowywanie przez wolność.

W przedlitawskiej Radzie państwa uciszyło się po dwu pierwszych dniach; wszakże łuki lewicy ciągle jeszcze napięte. Turck i Steinwender zapowiedzieli, że cisza nie znaczy pokoju: owszem, nie będzie nawet tak palącej ugody z Węgrami, dopóki rząd nie odwoła rozporządzeń językowych, a prawodawstwo językowi niemieckiemu nie nada praw języka państwowego. Błazeńskie oskarżenie ministrów, Badeniego i Gautscha, weszło na porządek dzienny dalszych dni. Dotychczas rozprawiano nad programem hr. Thuna, o którym nie warto nawet myśleć i zajmowano się zapomogami po klęskach żywiołowych. Ważne, wybitne oświadczenie złożył w imieniu Galicyi p. Jaworski d. 23 b. m.: potęga państwa i autonomia: to dwie zasady twórcze; od gabinetu żąda się czynów nie słów. Na prezesa Izby wybrany d. 21 b. m. Fuchs otrzymał do pomocy dwu wiceprezesów: Ferjancica i Lupula, Słoweńca i Ru-[illegible]

W Galicyi zmiana u szczytu. Eustachy Sanguszko usunął się z namiestnictwa; objął je hr. Poniński. Ustępujący namiestnik nie odznaczał się ani wiedzą i umiejętnością polityczną, ani energią i pracowitością: miał dobre chęci, uczciwą wolę—i to wszystko.

W Anglii Salisbury, chory fizycznie, wkrótce będzie musiał przynajmniej politykę zagraniczną odstąpić komuś zdolniejszemu — może Balfourowi. Dłuższe opieranie się byłoby grzesznem. Z wielkością Anglii źle, coraz gorzej. Nawet City zaczyna się już niepokoić — wprawdzie nie o rdzeń, o potęgę, o jej urok, ale o miąższ około rdzenia—o sterlingi, wydzierane jej na wodach i lądach chińskich.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TRZEŹWOŚĆ I OŚWIATA.

Od chwili wprowadzenia monopolu spirytusowego, nasze pisma dość często powtarzają wzmianki i pogłoski o tak zwanych kuratoryach trzeźwości. Co to są jednak owe kuratorya, gdzie i jak one działają, jaką część programu wprowadzono w życie, a jaką pozostawiono na papierze — o tem niema mowy. A przecież taka instytucya ma wejść do nas, to należałoby wiedzieć, jak działa gdzieindziej, o ile program jest zgodny z potrzebami istotnemi i co trzeba przeciwstawić zapomnieniu i oderwaniu się od trosk codziennych, które warstwy pracujące usiłują topić w kieliszku.

Zobaczmy, jakie nam wskazówki w tej mierze daje już praktyka. W roku zeszłym p. minister skarbu wysłał p. Szumachera do gubernij wschodnich dla obeznania się z działalnością i wpływem kuratoryj, stworzonych przy wprowadzeniu monopolu wódczanego. Delegat wydrukował swoje sprawozdanie i zapatrywanie w urzędowym *Wiestniku Finansów*. Dowiadujemy się z niego, że „organizacya bibliotek i czytelni dla ludu napotyka niezwalczone przeszkody w zawikłanej procedurze, którą przejść trzeba, gdy chodzi o otwarcie czytelni. Brak odpowiedzi władz właściwych na wystosowane w tej

---

46)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Poczułem, bracia moi, znużenie. Widzę, sił już niema. Oto myślę, zaraz z nóg się zwalę, pojmają, Ale Efim Trofimow nie taki człowiek, ażeby się dał żywy w ręce dostać. Słyszę, dopędzają. Tentent coraz bliżej. Obejrzałem się. — Strach! Bagnety połyskują. Siła! A na drodze przede mną — drzewo... Wysokie drzewo, sążni dwadzieścia... Zebrałem siły i — ku niemu. Wlazłem. — Wdrapałem się na sęk i siedzę. Nadbiegają zadyszani, pot z nich się leje, ledwie oddychać mogą. Zamęczyłem ich. „Złaź— krzyczą—dyabli synu! „Dobrze—mówię— na pewno zlezę, jak rak gwiźnie Zaczekajcie troszkę!..“ Mogliby mię kulą dostać, nic łatwiejszego. Ale wszystkie kule wystrzelali. Leźć zaś na drzewo boją się, bo ja mam siekierę przy sobie; z góry mogę łatwo uderzyć po głowie. Słyszę certują się z sobą: „leź ty pierwej!“ — „nie, ty!..“ A ja sobie siedzę, milczę i odpoczywam. Postawszy tak trochę, postanowili drze-[illegible]zwalić, żeby mię dostać. Zaczęli podkopywać bagnetami. Drży całe drzewo, trzęsie się. Oni kopią, a ja coraz wyżej się wdrapuję. Wlazłem na sam szczyt, czekam. Drzewo zaczęło się pochylać... „No, jeszcze!“ — krzyczą, drzewo zwalają. A z głosów ich znać, że ledwie oddychają, zmęczeni. „Jeszcze!...“ Drzewo pode mną się chwieje, a ja ciągle na szczycie siedzę, trzymam się. Jak gruchnie drzewo nareszcie, tylko jęk rozległ się, chrzęst gałęzi. Ja zaś na ziemię i w nogi! Oni przy korzeniach stali, a ja u szczytu byłem, o dwadzieścia sążni dalej. Oni, kopiąc drzewo w końcu zmęczyli się, gdy ja, siedząc, odpocząłem!

— Brawo! — zawołali aresztanci.

— Przecież on mówi, „siedem wiorst do nieba ciągle lasem.“ (*) — nie wytrzymał jakiś chłopak, niedawno dotknięty do żywego.

— A tobie co do tego? — oburzyli się katorżnicy. Po co szukasz awantury? Nie chcesz, to nie słuchaj, lecz nosa nie wtykaj. „Czuwyrło brackie.“

Byli oburzeni na to, że im przerwano „zajmujące opowiadanie.“

Takich gawędziarzy jest mnóstwo w każdem więzieniu. Co to za opowiadania! Jakie dzikie, fantastyczne, bezsensowne historye o niebywałych zbrodniach!

— Jego rzeczywistych zbrodni wystarczyłoby na trzy tomy. I to jeszcze jakie tomy! On zaś Bóg wie za co niestworzone rzeczy wymyśla!

Są to Pennson du Terraillowie, Xavier de Montepinowie katorgi.

Nie wierzą mu, ale pomimo to słuchają z zajęciem.

Katorga traktuje ich, jak my „bulwarowych romansopisarzów.“

Nie żąda od nich prawdy, lecz zadawala się ciekawem zmyślaniem.

Patrzy na nich, jako na dobrych bajarzy.

Nie można nawet tego nazwać „przechwałką przestępcy.“

Sądzę, iż przechwałki nie mogą wywrzeć szczególnego wrażenia na katorżnikach.

Przestając z człowiekiem dwadzieścia cztery godziny na dobę pomimo woli można go poznać, ocenić, do czego jest zdolny, odróżnić w jego opowiadaniach prawdę od kłamstwa.

Katorga nie przywiązuje szczególnej wagi do zbrodni, dokonanych „w Rosiei.“

— Tam wszy[illegible]cyśmy byli zuchy!

Traktuje ona jeszcze z pewnem poszanowaniem zbrodniarzy, którzy popełniwszy morderstwo, zdolali zdobyć dużą sumę, pogardza zaś tymi, którzy mordowali dla błahych kwot.

*) Przypowieść aresztancka, oznaczająca człowieka, który nigdy nie powiedział słowa prawdy. „Czuwyrło brackie,“ znaczy aresztant o powierzchowności odpychającej.

mierze podanie robi to, że wielu ludzi, którzy chętnie i szczerze wzięli się do dzieła, zaniechało następnie udziału w pracy podjętej.“ Odczyty lud przyjął bardzo chętnie, ale trudności, z jakiemi jest połączone uzyskanie pozwolenia na nie, tamują rozwój sprawy, pomimo że ze względu na niepiśmienność znacznej części włościan, odczyty dla nich mają bodaj większą jeszcze doniosłość praktyczną, niż czytelnie.“

A więc, jak widzimy ze sprawozdania urzędowego, ta część programu kuratoryów trzeźwości, która stanowi istotę zadania i nietamowana — może rzeczywisty pożytek przynieść — napotyka największe trudności. Pozostawiono w życiu tylko to, co stanowi dozór administracyjny, tj. baczenie, ażeby nie było szynkarstwa nielegalnego, ściganie przestępców tego rodzaju itd. Zresztą gdzie nawet udało się z wielkim trudem wprowadzić jakie takie godziwe rozrywki dla ludu, znaleziono grunt surowy i zasiano na nim ziarna bez wyboru i bez odpowiedniej uprawy.

Oto jest obrazek, który czerpiemy z nadesłanego nam listu prywatnego: W mieście powiatowem Krasnyj (gub. Smoleńska) otwarto w połowie stycznia teatr ludowy, wybudowany kosztem obywateli okolicznych, głównie zaś staraniem i kosztem p. Pieczkowskiego, właściciela Mańkowa. Istnieje tam także „Towarzystwo pomocy dla ubogich,“ które w teatrze tym urządza przedstawienia na korzyść nędzarzy. Repertuar objął komedye Ostrowskiego i Stachowicza, grane przez amatorów. Bywają zwykle dwa przedstawienia: jedno płatne, drugie — bezpłatne dla ludu, który tłumnie zapełnia salę. „Ciekawe są rozmowy po przedstawieniu — pisze nasz korespondent. — Spytałem jednego chłopa znajomego, jak mu się podoba? „To wszystko dobre — powiada. — Nasz pan wyszedł najpierw w niebieskiej koszuli wyszywanej, a potem w białej. Dalej patrzę — idzie doktór, coś powiedział, nadął się i poszedł. Potem znowu przyszedł bardzo czerwony — zapewne wypił.“ Była to scena w dramacie, kiedy główny bohater, młynarz, topi swoją niewierną. Widziałem, jak jeden chłop płakał (większość śmiała się). Inny, wychodząc machnął ręką i powiedział: „A niechże ich!“ Inny znowu powiedział: „Tańczą dla nas, bośmy kiedyś także tańczyli.“ Słowem, nie spotkałem dwu ludzi, którzyby wynieśli jedno i to samo wrażenie i zdolni byli odtworzyć w swej wyobraźni treść sztuk odegranych... Przy tem wszystkiem nieprzyjemne robi wrażenie jedna rzecz: Jesteśmy w sali, gdzie ludzie mają zapominać dawnych przyzwyczajeń, gdzie przychodzą nawet widzowie z nowymi znaczkami trzeźwości na piersiach. Bardzo być może, iż pod wpływem sztuki odegranej na scenie niejeden alkoholista chwilowo zapomni o wódce; ale po skończonem przedstawieniu wyjdzie, potoczy wzrokiem i — co mu się najpierw rzuci w oczy? — Naprzeciwko ładny, wspaniały budynek, ze złoconym napisem: „oczystnoj skład“...

Szczegóły te wymownie dowodzą, jak jeszcze w wielu miejscach lud jest zupełnie nieprzygotowany do tego rodzaju rozrywek i jak chybione są usługi inteligencyi, ofiarowywane na oślep. Organizatorowie rozrywek, czyli oświaty teatralnej, muszą posiadać zdolności pedagogiczne i kwalifikacye głębokich psychologów, a nawet socyologów. Mniej więcej to samo można powiedzieć co do czytelnictwa. Otóż trzeba być bardzo naiwnym, albo w najlepszym razie niesłychanie wielkim optymistą, ażeby wierzyć, że bez tych niezbędnych danych, jak zdolności pedagogiczne: dar postrzegania i umiejętność oceniania czynników socyologicznych — można było jakikolwiek pożytek przynieść ludowi w dziedzinie oświaty.

A teraz pytanie: co będą robiły u nas kuratorya trzeźwości? Jeżeli przyjdą, to należałoby zawczasu postarać się o to, ażeby usunięto wszelkie nieporozumienia i niejasności. Trzeba wreszcie postarać się o to, ażeby przedewszystkiem gwoli pożytkowi społecznemu uwzględniono warunki miejscowe.

Oprócz czytelni i odczytów w formie najprzystępniejszej, uwzględniającej poziom umysłowy, wyobraźnię, zdolność oceniania wszelkich zjawisk za pomocą środków rodzimych, jakie lud posiada, należałoby mu dać jeszcze i teatr. Próby w tej mierze, ujęte w formę pewnej organizacyi, zrobiono już z powodzeniem gdzieindziej. I w tym rodzaju oświecania niezbędne są warunki powyższe. Niewątpliwie moglibyśmy się zdobyć zarówno na stosowną literaturę sceniczną, jak i na siły wykonawcze. Te wszystkie rozproszone „drużyny“ aktorskie, tułające się po kraju bez dachu i chleba, mogłyby znaleźć pożyteczne i zaszczytne pole do pracy na scenach ludowych.

Zarysowaliśmy bardzo pobieżnie warunki zamiany gorzałki na trzeźwość i oświatę, które przed wprowadzeniem jakiejkolwiek organizacyi w tej mierze, należałoby gruntownie i rzetelnie ocenić. Nie mówimy o gospodach i herbaciarniach, bo o tem już się mówiło dawniej; nie podajemy szczegółowego planu działalności, bo na to nie mamy jeszcze chwili stosownej. Rzucamy tylko ogółowi oświeconemu kilka myśli, nad któremi powinien się zastanowić każdy człowiek, nietraktujący obojętnie najważniejszych potrzeb społecznych.

Samą zbrodnią nie można zaimponować katordze. Tutaj, że tak powiemy, „trzeba grać śród wirtuozów.“

Bohaterami katorgi są recydywiści. Ceni ona tylko zbrodnie i przestępstwa, spełnione na Sachalinie.

Jakiś śmiały zbieg, lub więzień, który zuchwale się zachował wobec inspektora, w oczach katorgi jest większym „bohaterem“ niż ten, co wyrznął całą rodzinę w Rosyi.

Połulachowa katorga zaczęła cenić od czasu gdy wyrwawszy strzelbę z rąk szyldwachowi, — zbiegł zuchwale w obec wszystkich.

Jest tylko jedna kategorya zbrodni, która otacza człowieka blaskiem nigdy niegasnącej sławy: to zabójstwo przedstawiciela administracyi więziennej.

Takiego katorga zawsze szanuje.

Szedł „pod stryczek.“

Niczego się nie boi, a więc jego należy się bać.

Wobec takiego człowieka zachowują się nieśmiało i z szacunkiem.

Po za tem wszelkie inne zbrodnie nie robią żadnego wrażenia.

— Wszystko co było, to przeszło! Pokaż nam kim teraz jesteś!

Przeszłość umarła. Katorgę obchodzi tylko to, co w człowieku „zostało.“

* * *

Dotychczas mówiliśmy tylko o stosunku zbrodniarzy do samego faktu zbrodni. A ich stosunek do ofiary?

Co oni w tym względzie czują?

Rzadko gniew, czysto pogardę, zwykle zaś — zupełną obojętność.

— A jakże! Żal! — zwykle odpowiada zbrodniarz na pytanie, czy nie żal mu jego ofiary?

Ale nie mówiłby lepiej tego.

Wymawia: „żal,“ jak gdyby to nie chodziło o życie, lecz o jakąś błahostkę, zabraną nieszczęśliwemu.

W tym tonie zbrodniarza dźwięczy taka obojętność, — obojętność na wszystko w świecie, z wyjątkiem jego własnej osoby.

Czujemy, że wymawia „żal“ poprostu „dla przyzwoitości; że czyni tym sposobem powne ustępstwo.

Zabójcy—rabusie wspominają o swoich ofiarach z pogardą, jeżeli nieszczęśliwy nie chciał odrazu oddać pieniędzy, jeżeli walczył.

Według ich pojęcia, zasługuje to na pogardę: człowiek wyżej cenił pieniądze, niż życie.

Jeden z morderców nie mógł bez uśmiechu mówić, jak jego nieszczęśliwa ofiara, gdy wszedł do niej z siekierą w ręku, krzyknęła:

— Jak ty śmiesz? Czy wiesz, na czyj dom napadasz?

— Pani! — odrzekł jej z uśmiechem — dla nas wszyscy są równi.

Gniew do swoich ofiar, gniew nieprzejednany, nigdy nieustępujący, czują tylko ci zbrodniarze, którzy przecierpieli dużo, zanim zdecydowali się na zbrodnię.

Z takim gniewem opowiadał mi o swojej ofierze w okręgu korsakowskim jeden z katorżników, który zabił swego „pana“ za to, że ten surowo z nim się obchodził. *)

Powien zabójca żony, której odrąbał głowę, na moje pytanie, czy nie żal mu togo, odpowiedział:

— Gdyby ożyła, ot choćby w tej chwili, odrąbałbym głowę podłej!

Powiedział to z wielkiem uniesieniem, pomimo iż należy do lepszych ludzi w katordze. Dobry, potulny, gotów podzielić się ostatkami z bliźnim.

Musiała mu dobrze dokuczyć nieboszczka!

Wogóle ludzie ci, którzy z gniewem mówią o swoich ofiarach, — przeważnie mają naturę dobroduszną, miękką.

Są to poprostu ludzie, którym przebrała się miarka cierpliwości.

Szczery, istotnie głęboki żal z powodu zamordowania „zupełnie niewinnej, ofiary,“ zdarzyło mi się dostrzedz raz tylko.

Był to nieszczęśliwy Gorszenin, który zabił inżeniera Korsza, pod wpływem uniesienia **).

*) O tym zbrodniarzu autor obszernie mówił już w jednym z poprzednich obrazków. Dla tego opuszczamy parę zdań powtórzonych. (*Przyp. tłom.*)

**) W Tyflisie.

LISTY PETERSBURSKIE.

Inżenierowie komunikacyj. — Nietykalność „bractwa“ i „stanów.“ — Oburzenie interesowanych. — Szkoły techniczne i przemysłowe. — Zjazd profesyonalistów. — Walka z przeszkodami. — Kursy wyższe dla kobiet w Petersburgu.

Niedawno w Petersburgu obchodzono uroczystość: setną rocznicę istnienia ministeryum komunikacyj. Jak zwykle na wszystkich uroczystościach jubileuszowych, wypowiedziano mnóstwo mów, wypito dużo toastów itd. Biesiada jest po to, ażeby patrzeć na wszystko przez szkła różowe, wypowiadać chwalby, podnosić zasługi i nic widzieć nic złego ani w życiu, ani w ludziach. Niewątpliwie w ciągu stulecia rozwój komunikacyj przekształcił do gruntu warunki ekonomiczne i kulturalne olbrzymich obszarów państwa, ułatwił rozrost techniki przemysłowej, dał setkom tysięcy ludzi możność istnienia materyalnego. Ale w tym olbrzymim organizmie pożytecznym, w jego wielu żyłach i tętnicach potworzyły się stwardnienia chorobliwe i niebezpieczne.

O tych zjawiskach ujemnych po odbytej uroczystości jubileuszowej wypowiedziało kilka uwag znamiennych *Nowoje Wremia*: „Wiadomo — mówi gazeta — że pierwsze koleje budowali cudzoziemcy, którzy patrzyli na Rosyę wyłącznie ze stanowiska własnego zysku i wzbogacenia się w okresie możliwie najkrótszym i przy pomocy wszelkich środków. Ci inżenierowie zagraniczni oddziałali na swych współpracowników rosyjskich, którzy następnie zostali przedstawicielami inżeneryi rosyjskiej, gdy obcokrajowcy, zebrawszy plon obfity, powrócili do domu. Skutkiem tych nienasyconych apetytów ustaliła się poniekąd zasada, że inżenier służy i pracuje dla zysku i wyzysku i że owoce jego pracy dla kraju są obojętne. Dzięki temu, wszystkie bezczelne szalbierstwa koncesyonaryuszów, okradających skarb, osłaniane były imieniem i powagą inżenierów kierowników budowy i inżenierów, posiadających władzę rozstrzygającą. Ażeby zmniejszyć koszty budowy na rzecz koncesyonaryuszów, budowano koleje źle, naprawiano jeszcze gorzej i nadawano liniom taki kierunek, aby obejść punkty trudniejsze, skutkiem czego mnóstwo miast i ognisk przemysłowych pozostało na uboczu, a więc zwichnięto znaczenie ekonomiczne tych ognisk, mających wszelkie warunki wzrostu i rozwoju.

Również z lekceważeniem interesów ogólnych odbywała się eksploatacya zbudowanych kolei pod wpływem tych samych pobudek interesowności i chęci dogodzenia posiadaczom koncesyi. Takie postępowanie, takie traktowanie interesów społeczeństwa i zwierzchnika-przedsiębiorcy opłacało się panom inżenierom bardzo sowicie, tak dalece, że sami częstokroć nie wiedzieli, co mają czynić z pieniędzmi. To też inżenier dróg i komunikacyj wytworzył cały cykl legend i anegdot. Mówiono o nim, jako o człowieku trwoniącym bezmyślnie pieniądze, „używającym życia,“ i to w formach brutalnych, które świadczyły o niskim poziomie moralnym. Wszystko to wniosło ferment rozkładu do życia korporacyi inżenierskiej w pierwszym okresie zwiększonego ruchu kolejowego, gdy stan ten tworzył się zaledwie, gdy dopiero kształtował się, urabiał swego ducha i charakter.

Czasy zmieniły się, ale czy działania owego fermentu nie odczuwamy do chwili obecnej? Naturalnie, warunki ogólne są dziś odmienne, znacznie surowsze. Inżenierowie ulegli w późniejszej swej przemianie działaniu nowych, zdrowszych prądów. Wiele uczyniono w tym zakresie jeszcze podczas krótkiej działalności ks. Chiłkowa, stojącego na czele ministeryum. I teraz inżenier komunikacyi zajmuje w społeczeństwie do pewnego stopnia uprzywilejowane stanowisko, otoczone opieką korporacyjną i popierane sztucznie całym ustrojem administracyjno-technicznym, zaczynając od systemu wykształcenia szkolnego i bardzo małej liczby udzielanych dyplomów, oraz wyjątkowych etatów.

Tymczasem drogi i komunikacye pozostają ciągle najsłabszą stroną Rosyi. Nic nie usprawiedliwia tej bezprzykładnej drożyzny sztuki inżenierskiej i przesadzonej ceny usług w tej mierze. Łatwo też zrozumieć, że ile razy chodzi o zaspokojenie potrzeb społecznych w zakresie budowy dróg znaczenia miejscowego, niepodobna wręcz korzystać z usług inżenierów komunikacyj, gdyż są zanadto kosztowni. Dla przeważnej większości ziemstw ubogich, nie mówiąc już o gminach i wsiach, inżenierowie komunikacyj są niedoścignionym zbytkiem. To też nie dziw, że drogi w Rosyi są ciągle trudne do przebycia, pomimo że utrzymanie każdego inżeniera komunikacyi kosztuje przeciętnie niewiele mniej, niż utrzymanie gubernatora. „Czas już — kończy pismo — ażeby sami inżenierowie pomyśleli o odświeżeniu ducha i zmurszałych tradycyj niedobrej przeszłości. Wobec solidarności korporacyjnej, jednoczącej ich i wiążącej w całość, wytrwałe dążenie, rozwinięte w tym zakresie, może wydać dobre owoce.“

Takie oświetlenie działalności i zasług owej grupy specyalistów wywołało śród nich silne oburzenie i protesty. Utrzymują oni, że podobne artykuły hańbią korporacyę i podkopują względem niej zaufanie społeczeństwa.

W ostatnich czasach widzimy dążność do rozszerzenia i uprzystępnienia wyższych zakładów naukowych szerszym kołom młodzieży. Może z czasem i instytut inżenierskо-komunikacyjny nie będzie tylko służył niewielkiej garstce wybrańców. Obecnie ministeryum oświaty po porozumieniu z ministeryum skarbu poruszyły sprawę rozszerzenia instytutów technologicznych w Petersburgu i Charkowie oraz szkoły technicznej w Moskwie. Wyniki egzaminów konkursowych wstępnych w wyższych zakładach specyalnych wykazały w ostatnich latach, że wszystkie owe zakłady, pomimo zwiększonej do możliwych granic liczby słuchaczów, nie mogą zmieścić nawet połowy kandydatów, przybywających nad Newę z najdalszych okolic państwa, z narażeniem na koszt, stratę czasu i dotkliwe zawody. Chociaż postanowiono już otworzyć nowe zakłady techniczne: w Warszawie, Kijowie i Tomsku, nie zaspokoi to jeszcze wszystkich potrzeb młodzieży. Dlatego właśnie postanowiono rozszerzyć powyższe zakłady, niezależnie od otwarcia nowych. W tym celu, oprócz zwiększenia zasiłków corocznych, potrzeba będzie sumy jednorazowej: dla instytutu technologicznego w Petersburgu 670,000 rs., dla charkowskiego 250,000, dla szkoły technicznej w Moskwie 650,000, ogółem 1,570,000 rs., z których 700,000 już udzielono z kasy

---

Doszedłem do kwestyi, która zapewne tak samo jak mnie, zajmie czytelników: Do kwestyi o halucynacyach i snach, o tej „czkawce wyobraźni i sumienia.“

Czy prześladują ich mary ofiar, jak bohaterów Szekspirowskich? Czy też zbrodniarze sachalińscy są zbudowani z innych pierwiastków?

Ale przecież i bohaterów Szekspirowskich niejednakowo prześladują mary zabitych.

Makbet widzi na jawie cień Banka, podczas gdy Ryszarda III męczą widziadła senne, a królowi Klaudyuszowi ani w śnie, ani na jawie nie ukazuje się cień zabitego króla i brata.

Wypytywałem wszystkich lekarzy więziennych co do halucynacyi katorżników i tylko dr. Lobas, człowiek, który gruntownie zna katorgę, mógł mi wskazać jeden wypadek, gdy zbrodniarz uskarżał się na prześladowanie przez widziadła.

Zetknąłem się później i z tym zbrodniarzem.

Jest to niejaki Weinstein, recydywista. który zamordował na Sachalinie kobietę, matkę Negla, o której mówiliśmy wyżej,

Inni utrzymują, że zabił ją, nic nie wskurawszy za pomocą konkurów.

On zaś utrzymuje, że zamordował ją ze wstrętu:

— Kobieta już nie młoda, zdradzała swego męża. I to jak zdradzała! Było to dla mnie wstrętne, więc zabiłem ją, wprost z jakiejś nienawiści, z pogardy, jak żmiję.

Jej postać okrwawiona nie dawała mu spokoju, dopóki siedział zamknięty osobno.

Nie sypiał po nocach, gdyż ciągle ją widział; krew na niego tryskała.

Ciekawe opowiadanie o halucynacyach słyszałem od jednego osiedleńca, którego podwiozłem z posterunku Due do Aleksandrowskiego *).

— W jakim interesie idziesz? — pytam go po drodze.

— Idę do okręgowego, prosić o nową towarzyszkę.

— A cóż, dawna zła?

— Co ma być zła? Dobra baba była, ale umarła... Już drugi miesiąc jak umarła Mnie zaś bez gospodyni trudno. Gospodarstwo! Może dadzą, choć byle jaką!

Przejechaliśmy ćwierć wiorsty w milczeniu.

— I dzięki Bogu, że umarła! Bóg ją zabrał. I mnie także spokój przyniósł. Męka była!

— Cóż takiego.

— Trzęsła się bardzo.

— Jak to trzęsła się?

— Tak, po nocach. Jak tylko nadejdzie noc, zaczyna się trząść. Zmęczyła mię. Strach! Bywało, jak zgasimy światło — zaczyna coś ją dręczyć. Drży cała, trzęsie się, ręce, nogi, jak lód. „On chodzi po izbie!“ — mówi. Tak się nieraz wystraszyła, że oto myślę, koniec będzie. „Za nogi — mówi — chwyta mię. Nachyla się ku mnie, mogiłą od niego wieje!“ Tak ciągle chodził on do niej. Był to mąż. Otruła. Nie podobał się! A gdy zaczął konać i męczyć się — ze strachu udusiła go. Czasem miała taki głos, że aż mnie strach ogarniał. „Milcz — mówi — ja mam *swego*.“ I mnie zaczęło prześladować! Eh, lepiej nie przypominać! Tak oto i zmarnowała się, schła, schła i zmarła. Królestwo jej niebieskie, wieczne odpoczniene!..

Niektórzy — a takich niewiele — skarżą się, że czasem widzą *swoich* we śnie; ale większość mówi ze zdumieniem, gdy ich o to zapytać:

— Miałbym to paskudztwo w snach oglądać?!

Zresztą wszystko to zależy od stanu nerwów.

Nie wierzę; a nie wierzę dlatego, żem nie widział, ażeby zbrodniarz zupełnie spokojnie traktował swój czyn zbrodniczy.

Być może, iż ta namiętność do kart, te gry hazardowne, którym się oddają od rana do nocy, w każdej chwili wolnej, a nawet od nocy do rana, być może, iż to jest środek „zapomnienia,“ ucieczka od myśli dręczących. (C. d. n.).

*) Przypominamy jeszcze podane wyżej opowiadanie inteligentnego zabójcy.

skarbowej w r. b. Rozszerzenie zakładów da możność zwiększyć liczbę słuchaczów do wszystkich trzech zakładów o 400 rocznie. Z uprzystępnienia tego młodzież będzie mogła korzystać już w roku bieżącym.

D. 22 marca otwarto w Petersburgu zjazd przedstawicieli szkół zawodowych, czyli tak zwanych profesyonalistów. Po skończeniu narad nie omieszkamy zdać sprawy z najważniejszych uchwał, nieobojętnych dla licznych rzesz młodzieży. Obecnie zaś poprzestaniemy tylko na garści szczegółów. Zjazd ma na celu przedewszystkiem dokładne rozejrzenie się w obecnym stanie szkolnictwa technicznego i rzeczywistych potrzebach życia w tej mierze. W r. 1895 w przepisach o egzaminach uczniów szkół realnych znacznie podniesiono wymagania co do postępu od tych uczniów, którzy po skończeniu sześciu klas chcą wstąpić do VII-ej dodatkowej i następnie do wyższych zakładów naukowych. Dziś jednak, wobec projektu nowych politechnik i rozszerzenia trzech powyżej wskazanych zakładów, przepisy te zniesiono. Atoli sprawa pewnego przystosowania kursu szkół realnych do wymagania wyższych zakładów będzie roztrząsana szczegółowo na zjeździe obecnym. Przedewszystkiem chodzi tu o przystosowanie pięciu klas szkół realnych do programu szkół technicznych. Ale zdaje się, że takie „przystosowanie“ nie będzie miało racyi bytu. Według niektórych rzeczoznawców należałoby uczynić odwrotnie: przystosować kursy szkół specyalnych do tych zakładów, które dają kandydatów z wykształceniem ogólnem. Dziś panuje wielka różnorodność w przygotowaniu uczniów szkół specyalnych. Jedni w zakresie nauk ogólnych umieją więcej, niż te szkoły nauczyć mogą, inni — tak mało, że potrzebne są dla nich wykłady dodatkowe. Taki nienormalny stan rzeczy należałoby co rychlej uregulować. Wiek uczniów tych szkół waha się w granicach bardzo szerokich: od 15 do 28 lat.

W ostatnich czasach ministeryum oświaty szczególną uwagę zwróciło na potrzebę szkół przemysłowych w całem państwie i położyło nacisk na konieczność porozumiewania się z wszelkiemi towarzystwami miejscowemi i wogóle ludźmi światlejszymi, obeznanymi z istotnym stanem rzeczy i potrzebami danej miejscowości. Otóż według streszczenia w *Birżewych Wied* zapatrywań ministeryum, pomimo gotowości społeczeństwa i jednostek do współdziałania w otwieraniu takich szkół, tu i owdzie znalazły się bardzo wielkie przeszkody ze strony miejscowych władz szkolnych, które nie zawsze podzielają i odczuwają potrzeby ogółu. Obecnie u steru oświaty widzimy bardzo sympatyczny zwrot, mający na celu zapobieganie tym przeszkodom. Ministeryum postanowiło uwzględnić wszelkie potrzeby ludności w tej mierze i skrzętnie je rozpatrywać.

Skoro weszliśmy na temat spraw szkolnych, nie możemy pominąć milczeniem stanu wyższej nauki dla kobiet. Petersburskie kursy żeńskie liczą obecnie przeszło 800 studentek i wolnych słuchaczek. Z tej liczby na wydział historyczno-filozoficzny uczęszcza 624, matematyczny 134 i ekonomiczny 50. Widzimy tedy, że liczba kobiet, żądnych wiedzy, wzrosła w ostatnich czasach ogromnie. Nie mamy pod ręką cyfr, dotyczących kandydatek nieprzyjętych. Wiemy tylko, że jest ich bardzo dużą. Przyczyną odmowy jest brak miejsca w lokalu, przeznaczonym na wykłady. Na utrzymanie wyższych kursów żeńskich w roku ubiegłym było do rozporządzenia tylko 139,791 rs. W tej sumie zapomoga ministeryum 3,000 rs., zasiłek zarządu miejskiego 3,000, ofiary 1,619, składek członków 3,210, dochodu z koncertów i bazarów 11,969, wpisów 66,750, z internatu i wiktu 48,884 rs. Wydano na utrzymanie kursów 223,513 rs.

Przytoczyliśmy tych kilka sum, ażeby zaznaczyć, jakiemi drogami ognisko światła dla kobiet zdobywa sobie środki istnienia. Drogi te są różnorodne i wielce charakterystyczne. Widzimy, że przybytek nauki, który uzyskał prawo obywatelstwa w społeczeństwie, musi swe istnienie podtrzymywać w znacznej części kwestą i jałmużną, musi ciągle walczyć z niedostatkiem. Losy i rozwój kursów niewieścich dziś jeszcze zależą od filantropii. O ile ona będzie szczodrą, o tyle zakład zadośćuczyni potrzebie licznym rzeszom kobiet, napływających nad Newę z najdalszych dzielnic państwa.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Awantury w szkole rolniczej w Czernichowie. — Przyczyny domniemane i prawdopodobne. — Związek literacki we Lwowie i jego zadanie. — Rada państwa. — Koło polskie i jego stanowisko.

W Czernichowie, gdzie istnieje średnia szkoła rolnicza, stał się fakt bardzo smutny: jeden z uczniów *) w sporze z dyrektorem uderzył go kilkakrotnie jego własnym toporkiem góralskim i zranił. Dodać muszę, że w poprzedniej walce, a raczej targaniu się z dyrektorem, toporek mu odebrał. Jest to skandal niezawodnie przykry i niezwykły, i nie ma, sądzę, nikogo, ktoby takiego zuchwalca pragnął usprawiedliwić, a jednak nasuwa się mimowolne pytanie: kto winien? Jeżeli człowiek, stanąwszy z tyłu krnąbrnego konia, biczem go smagnie, czy należy dziwić się, że koń, wierzgnąwszy, wybije mu zęby? Bynajmniej. Koń zrobił bolesną przykrość, mógł zrobić jeszcze gorzej, bo zabić człowieka, a jednak winien jest człowiek, bo zabrał się do ukarania w sposób niewłaściwy. Nie chcę przypuszczać i domyślać się, jakie były zatargi między dyrektorem a uczniem, ale to jest rzeczą niewątpliwą, że w takich smutnych wypadkach, jaki się zdarzył w Czernichowie, jest winien zawsze człowiek — dyrektor. Wina nie da się często określić co do istoty, ale niezawodnie co do charakteru czynu; zwykle nazywają to ludzie nietaktem, nieumiejętnością obchodzenia się z młodzieżą.

Zresztą fakt się stał i nad nim rozwodzić się nie myślę, ale daleko donioślejszą jest rzeczą wytłomaczenie tego faktu przez delegowaną komisyę. Po dokonanem badaniu przyszła ona do przekonania, że w szkole od dłuższego czasu panuje „zły duch,“ że śród młodzieży „szczególnie z Królestwa, spostrzegać się zdaje niesłychane zdziczenie moralne.“ Stwierdziwszy „zdziczenie,“ komisya wydaliła kilkunastu uczniów ze szkoły Czernichowskiej, poszła dalej nawet, bo zabroniła im wstępu do wszelkich innych. Tu już sprawę posunięto stanowczo za daleko. Przedewszystkiem podejrzanem jest owo „zdziczenie młodzieży z Królestwa,“ zważywszy że nie wyjaśniono, na czem ono polega, a niejeden z nas przekonał się z własnego doświadczenia, że we wszystkich zagranicznych zakładach naukowych właśnie młodzież z Królestwa bywa najczęściej celującą. Jest w tem chyba jakieś pomieszanie pojęć, ale może w Galicyi inaczej rozumieją „zdziczenie.“ Zdaje mi się, że tak jest w istocie. U nas w niektórych szkołach — powiadam niektórych — panują koszarowe obyczaje w stosunku do uczniów; nie też dziwnego, że bywają także często koszarowe wybryki. Niewątpliwie, że uległość w szkole jest potrzebną, ale chodzi także o formę wymaganiaj. Politycy krakowscy radzili nawet nad tem, czyby nie było dobrze zamknąć szkoły tutejsze dla młodzieży polskiej z za granicy! **). Możnaby było wtedy prowadzić tak zwany po niemiecku „Innzucht,“ czyli „chów w rodzinie,“ uchronić zdrową, rozumną, pokorną, chowaną pod batutą wielkiego historyka z Rady szkolnej i jego satelitów, młodzież galicyjską od złych wpływów. Nie głowy, ale karki ceni się tutaj. Można widzieć ludzi zasłużonych w nauce i literaturze na nędznych stanowiskach nauczycieli gimnazyalnych, a półgłówków na katedrach uniwersyteckich.

We Lwowie ruch literacki ożywił się nieco ostatnimi czasy. Wrócił do życia powstały w r. 1893 Związek naukowo-literacki — z odmiennym tylko nieco charakterem. Dawniejszy miał na celu skupianie rozproszonych sił literackich i naukowych, nietylko w celu wymiany myśli, ale i oddziaływania niejako na zewnątrz, na publiczność. Myśl ludzka bardzo jest podobna do światła: pod korcem chowane, nie świeci nikomu. Wprawdzie druk rozszerza znacznie promień tego światła, ale nie wszyscy mogą się uczyć czytając, a nie wszyscy i nie zawsze mają możność za pośrednictwem druku uskutecznić zamianę myśli z innymi. Weszło wówczas do związku, dzięki pobłażliwości Wydziału, wiele żywiołów za mało mających związku z literaturą i nauką, a za wiele krewkości literackiej i zapału polemicznego. Niektórzy członkowie Wydziału, którzy pragnęli, nie krzykliwego, ale poważnego zgromadzenia, usunęli się, a wkrótce związek zapadł w śpiączkę, która trwała pięć lat prawie. Teraz na czele jego stanął dr. Pawlikowski, profesor ekonomii społecznej w szkole rolniczej w Dublanach, człowiek wykształcony wszechstronnie, pracowity i ożywiony najlepszemi chęciami. Wówczas już, kiedy się związek tworzył, proponowano mu, ażeby na czele jego stanął. Nie uczynił wszakże tego; dopiero teraz, po długoletnim namyśle, zdecydował się. Wyjaśnił on, jak pojmuje cele tego stowarzyszenia. Według niego my, o ile nie pracujemy, *nudzimy się*. Chyba nie wszyscy, ale mniejsza z tem. Ponieważ chorobą naszą jest *nuda*, trzeba na nią wynaleźć lekarstwo, a tym specyfikiem ma być *dyletantyzm naukowy i literacki*. Że dyletantyzm jest cechą każdego prawie wykształconego człowieka, o ile on nie poświęca się pewnej gałęzi wiedzy — temu przeczyć nie myślę; że w naturze naszej istnieje dążność do rozszerzania wiedzy i to się zaprzeczyć nie da: ale żeby dyletantyzm naukowy i literacki był lekarstwem na nudy — trudno uwierzyć. Tak źle nie może być i tego zapewne nie życzy sobie nowy prezes Związku. Sądzę, że jest to poprostu nieporozumienie między wyrazem a myślą w nim zawartą; że teraźniejszym wskrzesicielom Związku chodzi przedewszystkiem o wymianę myśli. Prezes do wyrazu „dyletantyzm“ przyłożył miarę zbyt szeroką, a raczej zbyt nowoczesną, mierząc nią — nawet encyklopedystów francuskich. Zapewne, to, co umieli oni, nie odpowiada najpopularniejszemu pojęciu nauki, sformułowanemu przez niemieckich fabrykantów rozmaitych „handbuchów,“ garnirowanych cytatami, jak drzewko na Boże Narodzenie. Łatwość i piękność, oraz przystępność formy literackiej, metody pracowania i wykładu, np. u Francuzów, spotykają się u Niemców z zarzutem — dyletantyzmu. Cytaty nie stanowią nauki, a brak ich nie jest bynajmniej cechą nieuctwa. Nie będzie-

*) Korespondent krakowski twierdził, że to nie był uczeń szkoły. *Red.*

**) Za przykładem bogów.. pruskich! *Red.*

my się zresztą spierali o wyrazy, jeżeli lwowski Związek literacko - naukowy zgromadzi takie koło pracowników, jakie krakowski zgromadzić zdołał, i taką, jak krakowski, pożyteczną działalność rozwinąć potrafi.

Radę państwa zwołano nareszcie i — rozpoczęły się na nowo harce Wolfów i Schönererów. Prezydentem obrano Fuchsa. Oby się nie stało według przysłowia: *nomen omen*. Nie o to mi wszakże chodzi, lecz o Koło polskie, które po dawnemu prowadzi politykę kurzą. Na jednem z posiedzeń postanowiono na wniosek Jaworskiego nie stawić na prezydenta Izby, ani na wice-prezydenta kandydatury żadnego Polaka. Przedewszystkiem jest to wielkim nietaktem względem poprzedniego prezesa Abrahamowicza i jego zastępcy, Kramarza, bo albo nie należało ich wybierać, albo wybrawszy, starać się utrzymać. Zrezygnowano ze stanowiska tak poważnego wrzekomo dlatego, „ażeby nie robić rządowi trudności.“ Zdawałoby się, że tylko rząd austryacki posiada przywilej robienia nam trudności na każdem polu, ale my obowiązani jesteśmy proch z przed tego maniaka zamiatać. Opozycya nie troszczy się bynajmniej o to, że „robi trudności rządowi,“ i dlatego właśnie wygrywa. W polityce mogą być tylko ustępstwa pod naciskiem, a kto dobrowolnie usuwa się ze stanowiska wysokiego, tem samem dowodzi, że albo do wysokości jego nie dorósł, albo jest słabym i niedołężnym, albo wreszcie prowadzi politykę utylitarną według miary osobistej przykrojoną. Koło polskie tchórzliwem swojem zachowaniem się psuje to, co dobrego dla nas i dla Austryi zrobił Kaz. Badeni. Niemcy to lepiej od nas rozumieją i dlatego nie chcą nic ustąpić z wrzekomych praw swoich, a właściwie zejść z drogi gwałtu na drogę sprawiedliwości. I wygrają, skoro my dla miłego spokoju ciągle usuwamy się. Przecież na pierwszej sesyi nowootwartej Rady państwa Wolf wrzeszczał, że pokój narodowościowy w Austryi może być osiągnięty jedynie i wyłącznie przez uszanowanie *historycznego* charakteru Austryi i *potęgi niemieckiej*. Kto wie, do czego dojdziemy. Miłe złego początki, lecz koniec żałosny.

Cho.

Z NIEMIEC

Berlin, 23 marca.

Wypieranie cudzoziemców z politechnik. — Oczyszczanie sztuki z napływów obcych. — Wzrost dobrobytu. — Inne czasy — inni ludzie.

Bismarck, który lekką ręką puścił w obieg mnóstwo paradoksów, urągających najoczywistszej prawdzie, zrobił niegdyś wymówkę swym ziomkom, iż jak najmniej troszczą się o własne dobro, a natomiast interesują się skwapliwie losem obcych narodów. Jeśli po za obrębem domów dla obłąkanych i szkółek freblowskich znalazł się chociażby jeden Niemiec, co wziął na seryo tę naganę, to wypadki ostatnich czasów mogły tego naiwnego człowieka przejąć otuchą, iż Niemcy są na drodze do poprawy. Od kilku miesięcy sejm pruski, opoka reakcyi i gniazdo ciemnoty, z nieznaną dotychczas wytrwałością prowadzi krucyatę przeciwko obcym żywiołom. Pindar dywidendy cukrowniczej, teoretyk i obrońca ceł, prof. Paasche, kilkakrotnie się uskarżał, iż szkoły politechniczne są przepełnione cudzoziemcami, którzy nie tylko obdzierają Niemców z ich zdobyczy naukowych, lecz w dodatku swem natręctwem utrudniają studya rdzennym Germanom. Jak zapewniał mówca, fabrykanci sascy wtórują tym lamentom, twierdząc, że cudzoziemcy wywożą z kraju oprócz nauki wszelkie tajemnice technologiczne; w ten sposób kraj z własnej winy hoduje konkurentów za granicą i zatyka źródła swego zbytu. Minister Bosse obiecał zapobiedz klęsce grożącej niemieckiemu przemysłowi i ma niebawem, o ile go nie zaskoczy dymisya, energiczniej przystąpić do spełnienia życzeń zachcianki przemysłowców. Ten sam sejm pruski, jak wiadomo, zatwierdził niedawno 100 mil. marek na cele kolonizacyjne w Poznańskiem, aby uratować plemię germańskie od naporu niebezpiecznych Słowian. Wprawdzie prasa liberalna skrytykowała ostro przedsięwzięcie rządowe, lecz bynajmniej nie z pobudek etycznych; pisma wolnomyślne oburzały się przeważnie na to, iż fundusz nowy jest „podarunkiem miłosnym“ dla rolnictwa; rząd powinien zaopiekować się niemieckim handlem i przemysłem na kresach wschodnich. Zarówno *Vossische Zeitung*, jak *Tageblatt*, wyrażające się zwykle z pogardą o Polakach, nie wzięły sobie do serca ich krzywdy, nie zganiły prześladowań, wyciskających piętno krwawe na czole niemieckiego społeczeństwa, lecz dały ujście swemu gniewowi z powodu popierania rolnictwa i lekceważenia form konstytucyjnych. Kupcy chcieliby się również pożywić łupem, który przypadł w udziale hreczkosiejom. Tak pojmują pisma mieszczańskie kwestyę polską.

Jeszcze w innej dziedzinie daje się uczuć spotęgowane i obudzone samolubstwo narodowe. W tym samym sejmie zaatakowano ministra Bossego za to, iż dyrektor tutejszego muzeum królewskiego zakupuje obrazy obcokrajowców, zamiast dać zarobek pruskim sługom Apollina. Można byłoby przyjąć ten wybryk za wolny żart jakiego Filipa z Konopi, gdyby nie zacięta polemika na ten temat w parlamencie i prasie. Wstępu do narodowych przybytków sztuki należy wzbronić obcym utworom, gdyż one to przeważnie przynoszą ze sobą mikroby nowych, gorszących haseł. Można oczywiście pod wrażeniem tej buty i pyszałkostwa zapytać: czy ona zdolna jest stanąć na własnych nogach i zaprezentować się światu jako odrębne ogniwo w łańcuchu twórczości wszechludzkiej? Jeśli wypędzić ze świątyni niemieckiej intruzów, to pierwszą ofiarą tej banicyi stałby się Szwajcar Böcklin z Bazylei, którym Niemcy zwykli się szczycić jako swoim synem. Albo też wykreślmy z 600 koncertów, wypełniających tutejszy sezon zimowy, te, w których przyjmują udział siły obce — odrazu przyćmi się blask Berlina, jako areny dla międzynarodowego turnieju muzycznego. Najgorzej jednak wyszłaby chyba na tem „unarodowieniu“ literatura niemiecka, która zaledwie może się pochwalić kilku wybitnymi talentami. Cała prasa tutejsza karmi w odcinkach powieściowych swe koła czytelnicze przeważnie tłomaczeniami z obcych piśmiennictw. W najgorszym atoli świetle wystawia tę niesamodzielność literacką zapał, z którym obchodzono tutaj w przeszłym tygodniu 70-letni jubileusz Ibsena. Organy wszystkich obozów wyznają szczerze, iż ta garstka pisarzów, która podtrzymuje honor Niemiec za granicą, wychowała się i oparła na utworach Ibsena. Hauptmann, Sudermann, Fulda, Halbe i Hirszfeld naśladują i przeżuwają mistrza północy. Nawet Hauptmann aż do „Tkaczów,“ „Hanusi“ i „Dzwonu zatopionego“ występował jako uczeń Ibsena, zwolennik jego efektów artystycznych, techniki dramatycznej i poglądów społecznych. „Nora,“ „Upiory“ i „Rosmersholm“ odbiły się głośnem echem w literaturze niemieckiej i obudziły z letargu jej dramat. Kto kiedykolwiek przeglądał afisze berlińskie, mógł zauważyć, iż Niemcy nie powinni na polu sztuki rościć sobie pretensyj do dojrzałości. Teatry sprowadzają ciągle w roli wabików obcych artystów, najczęściej zaś z nienawistnej Francyi. Gościnny występ aktorki francuskiej traktuje prasa niemiecka jako wypadek nadzwyczajny. M-me Réjane i Ivette Guilbert święciły w Berlinie tryumfy, jakich nie odniosła jeszcze żadna Niemka. Każda obca artystka powołuje do życia nową szkołę i gminę, cieszącą się powodzeniem przez długi czas, jako odblask meteoru zagranicznego, który dawno znikł z miejscowego widnokręgu. Jakże w takim razie przyjmować za dobrą monetę uroczyste zapewnienie Niemców, iż mogą sobie sami dać radę bez przybłędów zagranicznych?

Tem więcej musi zadziwiać fanatyzm szowinistyczny w okresie, kiedy społeczeństwo niemieckie nie może się uskarżać na „ciężkie czasy.“ Niemcy stanowią dziś państwo zjednoczone, imponujące swą potęgą. W przeciągu dwudziestu kilku lat prześcignęło ono swych współzawodników na rynku wszechświatowym, a dziś ścigają się z Anglią o palmę pierwszeństwa handlowego. Wywóz niemiecki rośnie z każdym rokiem. Handel zagraniczny wynosił w 1840 r. 1 miliard, w 1860 — 2, w 1874—4, w 1875 — 7, dziś zaś stanowi prawie 10 miliardów. Niemcy posiadają obecnie flotę handlową pierwszą po Anglii. Emigracya ludności germańskiej maleje od roku 1880, co również świadczy o pomyślnych warunkach dobrobytu ekonomicznego. Statystyka podatku dochodowego stwierdza, iż ogólny poziom materyalny podniósł się, w klasach uboższych wprawdzie słabiej, niż w warstwach posiadających. Słowem trudno się dopatrzyć w warunkach życia materyalnego bezpośredniego powodu do wyszczuwania obcych żywiołów z terytoryum niemieckiego. Zdaje mi się, że na ten upadek moralny złożyły się zmiany w stanowisku politycznem mieszczaństwa. W roli kopciuszka dawało ono posłuch nawoływaniom idealistów; owładnąwszy położeniem chociaż nie wszechwładnie, nie „bawi się“ w ideały i trzyma się polityki t. zw. pozytywnej. Myśli o własnej kieszeni, i na tem koniec. Gdy zwrócimy się do przeszłości, spostrzegamy ze zdumieniem, jak dalece zmieniły się rzeczy w Niemczech. Cała prowincya reńska i południowe państwa niemieckie bratały się niegdyś z Francyą i zachwycały się nią. Nawet za czasów najazdu Napoleona przodownicy społeczeństwa niemieckiego nie ukrywali swej sympatyi dla Francuzów i Bonapartego. Schiller był dumnym ze swego francuskiego dyplomu obywatelskiego. Knebel, przyjaciel Goethego, pisał hymny na cześć cesarza Francyi. Goethe sam wynosił go pod niebiosa. Nawet Hegel, ta filisterska kreatura bez polotu społecznego, chylił czoło przed wielkim wodzem. W chwili gdy Napoleon przejeżdżał koło jego okna, filozof kończył właśnie swą „Fenomenologię ducha.“ „Widziałem go — pisze z ekstazą do przyjaciela — duszę świata. Co to za cudowne uczucie widzieć osobęześrodkowaną w jednym punkcie, na koniu, a jednak rozciągającą swą władzę niewidzialną nad całym światem.“ A jakże ci sami Niemcy zachowywali się wobec Polaków? Börne w każdym prawie ze swych „Listów paryskich“ wspomina o nas z zapałem. Jego przyjaciółka, Janina Wohl, pałała dla nas nadzwyczajną życzliwością i w swej korespondencyi z Bornem często porusza tę kwestyę. A dziś ze stałych obrońców narodowości polskiej w prasie mieszczańskiej mógłbym wymienić zaledwie profesora Delbrücka, któremu przecież stanowisko to zyskało w kołach uczonych i literackich szydercze przezwisko: „Hans Tapp.“

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Obawy wiosenne.

Kiedy wiosna jest dla innych narodów porą radości i nadziei, dla nas jest ona prawie zawsze chwilą trwogi i złych przewidywań. Bo jeżeli zima była surowa, lękamy się o skutki silnych mrozów; jeżeli była łagodna, boimy się o złe następstwa odwilży i spóźnionych przymrozków. Ubiegła zima należała do ciepłych, ale ponieważ opady były znaczne i przeplatane często zamarznięciami ziemi, skutkiem czego delikatne korzenie roślin przerywały się, rolnik więc z niepokojem spogląda na swoje zasiewy. Dziś trudno jeszcze coś stanowczego o nich powiedzieć, gdyż nie wiadomo, jaka będzie wiosna i lato. To tylko pewna, że chłody zbyt przeciągają się. Obserwując temperaturę naszego klimatu, zdaje się, jak gdyby dla niego odmierzona była pewna ilość tych chłodów i jeżeli ich nie wypłaci całkowicie zima, potem lato i wiosna pokrywają jej długi. Przez trzy miesiące roku bieżącego termometr rzadko i na krótko spadł niżej zera, ale za to koniec marca, nie pozwala na energiczną robotę w polu. Ptaki odlotne wracają, dają jednak słabe znaki swej obecności — zziębnięte i głodne. Wprawdzie jakiś reporter odnalazł już „młode wróbelki z żółtymi dzióbkami," zdaje się wszakże, że widział je w własnej głowie. Nawet skowronki, które najwcześniej wydzwaniają wiosnę, dotychczas nie rozśpiewały się. Słowem, pomimo kilku stopni ciepła mamy jeszcze podmuchy zimy, którą od czasu do czasu śnieg przypomina i rozwiewa złudzenia. Dla mieszczucha jest to tylko nieprzyjemne, ale dla wieśniaka — zgubne.

Głos doświadczenia.

Możemy być zgóry pewni, że każde nowe „Sprawozdanie roczne stacyi oceny nasion" przy Muzeum przemysłu i rolnictwa dowiedzie nam: 1) że miejscowi składnicy nasion bardzo nielicznie i niechętnie poddają próbom Stacyi swój towar i po większej części sprzedają zanieczyszczony, o którym sami nie mają należytego wyobrażenia i którym narażają nabywców na wielkie zawody; 2) że kultury krajowe są zwykle gorsze od zagranicznych; 3) że my ciągle płacimy ogromne sumy obcym za to, co moglibyśmy wytworzyć sami i 4) że nieraz kupujemy produkt cudzy liche (np. koniczynę amerykańską), który zewsząd został wyparty, a tylko u nas znajduje rynek. W roku minionym Stacya oplombowała (i zbadała) zaledwie 88 worków. Czemże to jest wobec całkowitego zapotrzebowania i zużycia w kraju! A jakie mogą zdarzać się różnice, przekonywa np. doświadczenie zapomocą siewu nasion marchwi. Z 38 prób tylko 23 okazały się czysto, czyli fałszywie oznaczone wynosiły prawie 40%. Według „Sprawozdania," przeciętna cena krajowego nasienia marchwi jest niższa o 30% od zagranicznej lepszych hodowców, u buraków pastewnych zaś różnica ta dochodzi do 50%. Dla zaradzenia złemu, p. Zieliński, kierownik Stacyi, zaleca: założenie spółkowej hodowli nasion i wspólny zakup ich przez odbiorców, co dawałoby większą rękojmię dobroci towaru i pewności źródła. Myśl niewątpliwie bardzo słuszna, ale ponieważ ona uderza w naszą może najsłabszą stronę— zdolność a raczej niezdolność stowarzyszania się, więc pozostanie głosem wołającego na puszczy. Niestety, trzeba się odwoływać do usiłowań jednostkowych.

Nie myślimy twierdzić, że hodowla dobrych nasion, a zwłaszcza zdobycie dla nich rynku, jest przedsięwzięciem łatwem; ale jakże wdzięcznem i właściwem polem byłaby ona dla kobiet, córek, sióstr i żon ziemian, którzy upadają pod ciężarem nieopłacającej się pracy rolnej i którzy daremnie szukają nowych źródeł dochodu! Na nieszczęście, większość naszych kobiet widzi całe swoje zadanie życia tylko w tem, ażeby — jak mówią Francuzi — *babiller, s'habiller et se deshabiller*.

Czarne godziny rentyerów.

Wiadomo, że do niedawna powszednim ideałem naszym było: piastować jakikolwiek urząd lub żyć z renty — gruntowej, hypotecznej lub kuponowej. W ostatnich czasach „posady" coraz częściej wymykają nam się z rąk, a procenty spadają z szaloną szybkością. Jeszcze przed 10 laty można było dostać bezpieczną hypotekę dla 10% — dziś nie należą już do rzadkości tranzakcye tego rodzaju na 5½%. Skutkiem tego niewielki kapitał, którego odsetki dawały dawniej dobre utrzymanie swemu posiadaczowi, teraz „odrzuca" tak mało, że trzeba myśleć o dopełnianiu go jakąś pracą. A tu procenty zniżają się ciągle. Każda nowa konwersya papierów publicznych spycha je bardziej. Ponieważ już nie można odłamywać ich jednostkami, więc się kruszą ułamkami. Pisma donoszą z Berlina, że tamtejsza firma bankierska zamierza podjąć konwersyę jednej z pożyczek rosyjskich na $3^4/_5$%. Nasze Towarzystwo kredytowe ziemskie myśli o listach czteroprocentowych. Ten proces pójdzie dalej. Za lat kilka usłyszymy zapewne o stopach $3^2/_3$, $3^1/_3$, $3^1/_4$, [illegible] może nawet $3^1/_{100}$. Te drobne ułamki wskazują, że już nie ma z czego skubać wiele, a jednocześnie stanowią niejaką pociechę dla rentyerów. Łatwiej stracić włos po włosie, niż mieć wyrwaną całą czupryne. Bądź co bądź, nadeszły na nich bardzo czarne godziny. Słusznie też jeden z nich zawołał oburzony:

— Tfu! do stu... Do czego to doszło, ażeby porządny człowiek otrzymywał jakieś $3^4/_5$ procentu od swego *ciężko zapracowanego* grosza. Kto to dawniej słyszał o ułamkach w kuponie!

Prawda, do czego doszło! A jednak trzeba się z tem pogodzić.

Postępuje...

Jedno z pism humorystycznych otworzyło w swych kolumnach stałą rubrykę drwin z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, wysiadującego oddawna projekt budowy własnego domu. Rzeczywiście instytucya ta dba wielce tylko o zasilanie... humorystyki miejscowej. Wszystko w niej posuwa się ciężko, skrzypi, staje i znowu skrzypi. Ale nareszcie rozstrzygnięto konkurs i ukazano w pismach wizerunek przyszłego gmachu według p. Szyllera, który otrzymał pierwszą nagrodę. W rysunku wygląda rzecz ładnie, a jaką będzie w wykonaniu — zobaczymy.

Właściwie mówiąc, warszawskie Towarzystwo sztuk pięknych nie potrzebuje własnego, a tem mniej okazałego, gmachu. To, co się zwykle znajduje na jego wystawie, można bez trudu pomieścić w kilku najętych pokoikach skromnej kamienicy. Ale mamy nadzieję, że ów pałac stanie się dla niego pantoflami Diderota. Posiadając wspaniały przybytek, wielkie i doskonale oświetlone sale, może szan. komitet postara się o obrazy i „zachęci" artystów do przysyłania swych utworów. Dotąd wszelkiemi siłami i sposobami zniechęcał ich — i miał ku temu słuszną racyę. Przedewszystkiem w gronie jego zasiadali mężowie, których sztuka tyle obchodzi, co nas np. fabrykacya firanek. Powtóre był on ze swym kramem ciągle na popasie — to u p. Potockiego, to w Muzeum, to w Resursie obywatelskiej. Im mniej zaś w tej włóczędze miał ruchomości, tem taniej kosztowała go przeprowadzka. Więc był bardzo wdzięczny malarzom, gdy omijali jego lokal, w którym na prawie wieczystego komornego zamieszkiwali tylko starzy, pająkom dobrze znajomi inwalidzi i kalecy gminy Apellesowej. Ale teraz będzie inaczej. Ściany sal pysznego gmachu trzeba będzie ozdobić nowemi płótnami i otworzyć zaryglowane podwoje dla rozmaitych dorobkiewiczów sławy, którzy w Warszawie jeszcze nie uzyskali szlachectwa, ale za granicą już posiadają wysokie tytuły.

Pogrzeb Junoszy.

O ile sława autora „Pająków" za jego życia brzmiała bardzo skromnie, o tyle po śmierci rozległa się bardzo głośno. Zarówno w Otwocku, gdzie nieboszczyk dokończył życia, jak w Lublinie, gdzie go pochowano, obrzęd pogrzebowy zamienił się na owacyę, w której obok literatów i dziennikarzy przyjęła dość liczny udział publiczności. Dla nas składanie człowieka do grobu jest zawsze tylko aktem smutku tych, którzy go kochali i szanowali, a im większy jest ten smutek, tem powinien być cichszy. Więc i w tej chwili zamiast szczegółowo opisywać uroczystości pogrzebowe, wolimy położyć nacisk na obowiązek społeczny dopomożenia rodzinie zmarłego w ciężkiej walce o dalszy byt. Nie znamy jej położenia materyalnego, ale kilka pism wspomniało o potrzebie zaopiekowania się najmłodszym synem Junoszy. Otóż byłoby pożądanem, ażeby ludzie, znający rozmiary tej potrzeby dokładnie, wyszli po za granice napomknień i zajęli się dzieckiem zasłużonego ojca gorliwie. Zamiana kilku wieńców na składki dla niego sprawy tej nie załatwi. Należy poprostu, albo drogą prywatną, albo — jeśli ona nie obiecuje wiele — publiczną, wezwać ogół do spłacenia tego długu, który on zawsze chętnie i szczodrze niszcza.

Odczyty.

Wykłady popularne z zakresu wiedzy przyrodniczej w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa wyrobiły już sobie powodzenie i uznanie. Z pewną dziedziną zjawisk fizycznych i chemicznych zapoznali słuchaczów pp. Bronisław Znatowicz (o własnościach ogólnych powietrza i jego częściach składowych) i Napoleon Milicer (o azocie). Dar jasnego i przystępnego wykładu, uplastycznionego umiejętnie wykonanemi i dobranemi doświadczeniami, przyczynił się zapewne do utrwalenia w pamięci słuchaczów jeżeli nie szczegółów, to przynajmniej obrazu ogólnego tych zjawisk, z któremi ludzie codzień mają do czynienia, a pomimo to nawet ze szczebla średniego wykształcenia nie mogą ich dostrzedz i ocenić. Aż dwu prelegentów: pp. Manswet Ciemniewski i Wróblewski mówili publicznie o zjawiskach z dziedziny meteorologii i geografii fizycznej. Wykład p. Wróblewskiego dla znacznej części słuchaczów prawdopodobnie był zanadto popularny, bo właściwie stanowił wyjątek z podręcznika szkolnego klas niższych, wyjątek oczywiście wyłożony barwnie, rozwinięty szeroko. Dla jednych było to miłem przypomnieniem czasów szkolnych, dla innych — prawie nowością. Jeszcze inni poczuli z wykładu miły podmuch i woń zbliżającej się wiosny, gdy im pokazano duży kąt, pod którym słońce się wzbiło nad zlodowaciałą, wyziębioną ziemią i snopami rzucanych z wysoka promieni ogłosiło zwycięztwo nad zimą.

Bardzo dobrze zrobił p. Ciemniewski, charakteryzując znaczenie i stan meteorologii dzisiejszej, lekceważonej jeszcze do-

tychczas przez większość ludzi, „przeciętnie“ oświeconych. Ogólne pojęcie jest takie, że meteorologia — to przepowiednia pogody, czyli znachorstwo kalendarzowe. W rzeczywistości jest to poważny dział nauki, która już się posługuje olbrzymimi środkami, siecią stacyj, rozrzuconych po całej kuli ziemskiej i dziesiątkami tysięcy pracowników. Im większa będzie międzynarodowa solidarność badań, im większa suma spostrzeżeń nieustannych, tem szybszy będzie postęp i płodniejsze owoce w przyszłości. Za granicą, zwłaszcza w Anglii oraz w Ameryce północnej, nie szczędzono na tę pracę milionów. To też meteorologia zrobiła tam największe postępy. U nas, niestety, dotychczas jeszcze jest to bardzo uboga organizacya badań, która nie potrafiła wyrobić należytego poparcia i stanowiska. Jak wiadomo, pożądane jest w tej dziedzinie współpracownictwo najszerszych warstw, zaczynając od ludzi specyalnie ukształconych do zwyczajnych profanów, dla których kilka wskazówek wystarczy. Chcąc jednak te szersze warstwy powołać do pracy, należy dać im pojęcie o znaczeniu i celach meteorologii.

P. Edmund Jankowski wygłosił odczyt o znaczeniu powietrza w życiu roślin. Jak zwykle, mówił bardzo sympatycznie i zajmująco; jak zwykle wlał cząstkę swojej duszy do przedmiotu szczerze umiłowanego. Mieszczuch, otoczony życiem a warunkami oschłymi, mimowoli wnosi tę oschłość do swego jestestwa duchowego. Ale i taki nawet człowiek, stojący zdala od przyrody, który umie tylko cenić szparagi, kapustę, kartofle, ogórki itd., i taki nawet po wysłuchaniu odczytu, przesiąkniętego duchem miłości i poezyi, wybiegnie wyobraźnią po za mury i w swojej czci dla przyrody oderwie się od nizin pożytku materyalnego. Szkoda tylko, że p. Jankowski, mając przed sobą licznych i różnorodnych słuchaczów, nie może odróżnić katedry od ambony. Jego nagły zwrot przy końcu wykładu przypomina ton kaznodziei zaściankowego i psuje to całe wrażenie, jakie nam daje piękny odczyt przyrodnika i poety w duszy.

Do najlepszych zaliczyć należy trzy odczyty dr. Maksymiliana Flauma o sercu i płucach. Ogół nasz, nawet ta jego cząstka, która rości pretensye do wykształcenia więcej niż średniego i w salonach stara się otaczać siebie blaskiem efektownych frazesów — nie ma elementarnego pojęcia o fizyologii, pomimo że ona przecież powinna być nieodłącznym warunkiem takiego wykształcenia. Dr. Flaum posiada rzadki dar popularyzowania wiedzy fizyologicznej. W żywem słowie zalety jego wykładów jeszcze bardziej się podnoszą, a liczne ilustracye (obrazy niknące) ułatwiają zatrzymanie w umyśle szczegółów ciekawych.

Zen. Fiet.

Wzór wyzysku.

Towarzystwo łyżwiarskie, stawszy się samodzielnym gospodarzem Doliny Szwajcarskiej, postanowiło zakontraktować na swe usługi orkiestrę tak zwaną „swojską.“ Do zawarcia kontraktów upoważniono p. Sonnenfalda i umowa oczywiście nie przyszła do skutku, gdyż członkom dano do podpisania prawie nigdzie niepraktykowany dotąd wzór wyzysku. Dość przytoczyć kilka szczegółów z deklaracyi, którą mamy pod ręką. Dyrektor, dowolnie wybrany przez p. Sonnenfelda, ma otrzymać pensyę z dochodu orkiestry udziałowej. Wybór jego zależy tylko od p. Sonnenfelda, a jako pierwszego kandydata postawiono p. K. Maydera, który może przyjechać do Warszawy z połową swej orkiestry. Tygodniowo odbywać się mają 1—4 koncerty. Paragraf czwarty głosi, iż p. Wl. Sonnenfeld ma prawo naprawiać instrumenty członków orkiestry ich własnym kosztem. W paragrafie 5-ym czytamy, że p. Sonnenfeld (należy zawsze czytać: Tow. łyżwiarskie) „ma prawo dowolnego zawierania kontraktów z pojedynczymi członkami ze stałą pensyą lub też z udziałem w zyskach.“ Dodajmy, iż stała pensya, przeznaczona dla zagranicznych solistów, ma być wypłacana z dochodu członków, grających na działy, a więc ich kosztem. Dochód grających na działy wynosić może przy najlepszych warunkach 15—20 rs. miesięcznie. Zobowiązanie w paragrafie 8 brzmi: „Jedna trzecia część zysku zostaje zatrzymana do końca sezonu i w żadnym wypadku nie mam prawa przed tym terminem żądać z niej obrachunku i spłaty, gdyż *przedewszystkiem* ma ona służyć na pokrycie wszelkich możliwych deficytów i rozchodów, bądź nieprzewidzianych, bądź niedających się na razie pokryć z dochodów bieżących.“ Paragraf 9: „Gdyby w ciągu dwu za sobą idących tygodni przedsiębiorstwo nie przynosiło zysków, W. Sonnenfeld ma prawo zerwać umowę bez żadnych na rzecz moją wynagrodzeń.“ Warunki takie, według zapewnienia komitetu Towarzystwa łyżwiarskiego, nazywają się „obywatelskiem wyciągnięciem dłoni!“ Gdyby jednak podobną umowę dał do podpisania robotnikom przedsiębiorca, podlegający przepisom fabrycznym, pociągnięto by go do odpowiedzialności surowej. Na szczęście umowa nie przyszła do skutku i to ochroniło zarobkodawców orkiestry od zastosowania w czynie tego wzoru kontraktu, który okryłby ich hańbą.

BADANIA NAUKOWE.

MAKSYMILIAN GUMPLOWICZ.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

To spóźnione, niemniej jednak serdecznym żalem podyktowane wspomnienie należy się młodemu uczonemu, który w tragicznych warunkach targnąwszy się na życie własne, pozostawił niczem niezapełnioną szczerbę w sercu znękanego ojca (słynnego socyologa, profesora uniwersytetu w Gracu) i pozbawił naukę historyczną swojską świetnych nadziei, jakie ogłoszonemi już pracami zapowiadać się zdawał.

Maksymilian Gumplowicz urodził się w Krakowie w r. 1864 i tam rozpoczął nauki szkolne. Przeniósł się z rodzicami w r. 1875 do Gracu i tutaj, po ukończeniu kursów gimnazyalnych w Marburgu, Cylei i po odbyciu półrocza studyów na uniwersytecie lwowskim, pod kierunkiem Liskiego i Wojciechowskiego, otrzymał godność doktora nauk filozoficznych i społecznych.

Od wczesnej młodości z zapałem poświęcił się ulubionemu przedmiotowi — historyi ojczystej. Zasobna w źródła biblioteka ojcowska dostarczyła mu materyału do badań nad najdawniejszymi kronikarzami polskimi, przedewszystkiem zaś nad Marcinem Gallusem, co do którego osoby i prawdomówności powziąwszy pewne podejrzenia, postanowił rozproszyć mroki, otaczające jego pochodzenie, aby następnie ustaliwszy fakt, kim ów kronikarz był, przystąpić do rozbioru dzieła, jakie po sobie był pozostawił.

Owocem owych sumiennych i drobiazgowych badań była rozprawa, niewielka rozmiarami, lecz wypełniona obficie materyałem nowym, badawczym, p. t. *Bischof Balduin Gallus von Kruszwica, Polens erster lateinischer Kronist*, wydrukowana w r. 1895 w „Sprawozdaniach wiedeńskiej akademii umiejętności.“ O pracy tej znawcy fachowi, jak Grünhagen, Pawiński i Rembowski, z najżywszem wyrazili się uznaniem, wnosiła ona bowiem do historyografii polskiej niezwykłej wartości dorobek. Dzięki owej rozprawie okazało się, że tak zwany Marcin Gallus był Baldwinem Gallusem, pochodzenia flandryjskiego, opatem klasztoru Benedyktynów w Lublinie, następnie biskupem kruszwickim, który napisał swoją kronikę po odwiedzeniu grobu św. Wojciecha przez Bolesława III, lecz jeszcze przed otrzymaniem wiadomości o śmierci króla Kolomana węgierskiego.

Po wykryciu osobistości autora kroniki przystąpił Gumplowicz do krytyki jego dzieła i w dwu dalszych rozprawach historyczno-krytycznych o „Zbigniewie,“ synu Władysława Hermana i o „Walce obrządku słowiańskiego z rzymskim w Polsce XI i XII wieku,“ wykazuje jednostronność opowiadania Gallusa i rzuca nowo światło na ówczesne dzieje Polski.

Współrzędnie z historyą zajmował się i statystyką narodowości, a owocem tego była pierwsza jego, drukowana w r. 1889 w *Ateneum* warszawskiem rozprawa p. t.: „Magyaryzacya Słowian,“ która żywo w Słowiańszczyznie całej obudziła zajęcie, a nawet dała swego czasu powód do dyplomatycznych ze strony rządu węgierskiego kroków. W pracy tej przedstawił autor smutną dolę Słowaków na Węgrzech.

Wszystkie te rozprawy, których cząstka zaledwie szerszemu ogółowi jest znaną, ukażą się wkrótce w oddzielnem wydaniu pośmiertnem, podjętem za staraniem zbolałego ojca przedwcześnie zgasłego uczonego.

W r. 1890 pracował Gumplowicz w biurze komisyi statystycznej w Wiedniu. Dzięki udziałowi jego w pracy nad wykazem miejscowości krajów słowiańskich Przedlitawii, nazwy tych miejscowości ukazały się po raz pierwszy w poprawnej formie i pisowni.

Ścisłe związki koleżeństwa i przyjaźni, zadzierzgnięte na ławie szkolnej ze Słowieńcami, Chorwatami, Serbami i Czechami, nadały działalności Gumplowicza charakter przeważnie słowiański; lecz nie odstręczyły go od stosunków z rodakami, którzy też oceniając szlachetność pobudek młodego uczonego, szczerość jego przekonań w walce przeciw żywiołom magyarskim ku zagładzie kultury słowiańskiej skierowanym, obrali go prezesem towarzystwa „Ognisko“ w Wiedniu. Na tem nowem polu pożytecznej działalności Gumplowicz rozwinął zasoby niezwykłej inteligencyi i energii... Niestety, nie danem było społeczeństwu doczekać się plonu owych usiłowań! Poniósł młody uczony za sobą do grobu żal ogólny i ubolewanie nad przyczynami, które katastrofę spowodowały...

Wiedeń.

LITERATURA I SZTUKA.

KRYTYKA I SOCYOLOGIA.

Pomiędzy zadaniami krytyki literackiej a wszelkiej innej nauki istnieje jedna różnica zasadnicza. Nauka ma się zajmować tylko tem, co jest ogólne; tymczasem historya literatury zajmuje się jednostkami, pisarzami genialnymi — przyczem stara się ona określić, co w nich jest indywidualnego, tj. takiego, co nie może być sprowadzonem do żadnych zjawisk ogólniejszych. Z tego po-

wodu Ferdynand Brunetière ogłasza krytykę nie za naukę, lecz za sztukę.

„Naukowem, w ścisłem znaczeniu tego słowa — powiada on — jest tylko to, co jest pod każdym względem zawarunkowane—pod względem przyczyny, przebiegu i skutków; natomiast istotnie ludzkiem jest tylko to, co jest wolne lub uchodzi za takie... Naukowe wrzekomo badanie dzieł literatury może w nich poruszyć tylko to, co one mają w sobie najmniej literackiego; lecz to, co stanowi ich charakter właściwy, najsilniej wyrywa się z pod wpływów wszelkiej metody i wszelkiej formuły naukowej" *).

Wyobraźmy sobie, iż na jednem z ciał niebieskich analiza spektralna odkrywa nowy pierwiastek, który własnościami swemi nie przypomina żadnego z poprzednio znanych; czyż jego badanie nie należy przeto do chemii?

A wypadki takie, jak potopy, przy całej ich rzadkości i indywidualności, czyż nie należą do geologii i astronomii? Prawa tych zjawisk mogą być jeszcze nieodkryte, ich doniosłość może być tak wielka, iż przeważa wszelkie przewidywania ludzkie i reguły społeczne; pomimo to zjawiska te podlegają prawom stałym i mogą być przedmiotem badania naukowego. Gdyby dowiedziono było, iż co dwa miliony lat koło ziemi przebiega meteor, udzielający jej takiego wstrząśnienia, iż wszelkie życie organiczne chwilowo na niej staje się niemożliwem — wszystko ulega zwęgleniu — zjawisko to przeważałoby swym wpływem wszystkie prawa rozwoju społecznego, które nie mogą ani go zmienić, ani odwrócić — a jednak podlegałoby ono zwykłym prawom naturalnym i naukowym.

Tak właśnie przedstawia się nam kwestya geniuszu w literaturze i sztuce. Jest to zjawisko nie społeczne, lecz naturalne, wypadkowe, które wpływom swym może przeważyć wszystkie prawa rozwoju społecznego, odwrócić je i zmienić, samo będąc całkiem niezależne od ich przebiegu, a jednak należy do nauki i może być badane w sposób naukowy. A mianowicie, jeżeli zjawisko to prawom społecznym nie jest podległe i jeżeli one same wytłomaczyć go nie są w stanie, to podlega jednak prawom antropologii.

Gdybyśmy znali wszystkie rasy ludzkie czyste, które istniały od czasu pojawienia się na ziemi człowieka, gdybyśmy znali dokładnie prawa ich następstwa i mieszania, nie ulega wątpliwości, iż każde szczególne zjawisko geniusza mogłoby być w zupełności i naukowo wytłomaczone aż do najdrobniejszych szczegółów. Niestety, nauka nie doszła jeszcze do takiej doskonałości, ale nie przeszkadza to bynajmniej, abyśmy przyznawali charakter naukowy odnośnych zjawisk. Ich rzadkość, wyjątkowość i rozległość ich wpływów, nie mają pod tym względem żadnego znaczenia.

Przyznajemy jednak, iż stanowisko Brunetière'a, jakkolwiek całkiem nienaukowe, wydaje się nam daleko słuszniejszem, niż postępowanie tych pedantów, którzy dla zachowania charakteru naukowego krytyki chcieliby wyrzucić całkiem z literatury i sztuki czynnik indywidualny, jako zupełnie nieznaczny i rozpatrywać je wyłącznie z punktu widzenia praw rozwoju społecznego. Tak postępują Posnett, Letourneau i inni.

Jest to punkt widzenia powierzchowny i niczem nieusprawiedliwiony: czynnik indywidualny i przypadkowy może mieć w literaturze i sztuce doniosłość większą, niż społeczny i prawidłowy; wyrzucać go znaczy nie rozumieć wprost, o co głównie w tej dziedzinie życia chodzi i wykrzywiać zasadniczo cały charakter krytyki; a jednak czynnik ten podlega prawom naturalnym, tylko nader skomplikowanym, które dlatego właśnie jeszcze dokładnie zbadane nie zostały.

Pomijając czynnik geniusza, który nie poddaje się jeszcze żadnym obliczeniom, a wywiera na rozwój literatury i sztuki wpływ olbrzymi, możemy jednak rozpatrywać zależność ich od rozwoju grup społecznych, która jest prawidłową i w głównych rysach zbadaną.

Oczywista rzecz, iż utwory literackie zależą wprost od wyrazów, które grupa wytworzyła, a także od pojęć, które za niemi się kryją. Pojęcia zaś, a nawet wrażenia i uczucia są wytworem masowego współdziałania i zależności wzajemnej. W zastosowaniu do tłumu, chociażby najbardziej wykwintnego i ukształconego, można śmiało powiedzieć, iż jednostka nie istnieje: jej dusza jest w pełnem tego słowa znaczeniu funkcyą związku społecznego. Po związku tym przebiegają wciąż prądy wspólne energii biologicznej, zwane świadomością. Rozwój świadomości jednostkowej całkiem jest zależny od rozwoju masowej. Dusza osobnika jest w porządku tylko o tyle, o ile pozostaje w zgodzie ze społeczeństwem, o ile nie zakłóca jego równowagi. Tę zależność naszej świadomości od stanu społeczeństwa każdy uważny spostrzegacz na każdym kroku zauważyć może. Gdy jeden członek stada czyni coś niezwykłego, co naraża równowagę, zaraz wszyscy inni są strapieni, a gdy chodzi o coś ważnego—bliscy szału. To falowanie cząsteczek trwa dopóty, póki przyczyna naruszająca ogólną równowagę usuniętą nie zostanie i wszystko powróci do poprzedniego stanu. Wówczas każdy znowu czuje się „sobą."

Wszystko tu, w zbiorowisku społecznem, odbywa się na zasadzie tych samych praw, które wodę wstrząśniętą w naczyniu starają się powrócić wciąż do stanu spokoju. W obu wypadkach ruchy każdej cząsteczki zależne są od ruchów całej masy. Gdy szklankę potrącicie w jednym punkcie, wnet drganie przebiega we wszystkich kierunkach. Gdy w „towarzystwie" powiecie cokolwiek pod sekretem jednej osobie, wnet całe towarzystwo wie o tem. Wszystko tu i w jednym i w drugim wypadku odbywa się na zasadzie praw, rządzących rozchodzeniem się ruchu. Jakaś pani modnie ubrana lub elegancki młodzieniec, biegający z salonu do salonu dla zakomunikowania jakiejś najświeższej nowiny, nie wyobrażają sobie pewno, iż są cząsteczkami pewnego agregatu, automatycznie przeprowadzającemi pewne drgania.

Potrzeba paplania, dzielenia się z innymi, zbierania się w jednem miejscu, spowiedzi itd. — oto właśnie te niewidzialne nici, które są dla psychologa jasnym dowodem, iż jednostka, jako taka, nie istnieje, lecz tylko jako członek stada. Im bardziej towarzyskim jest dany człowiek, tem gorszy wyrok wydaje na swą indywidualność.

Właściwie mówiąc, cywilizacya polega tylko na zmianie pozorów— istota natury ludzkiej pozostaje niezmienną. Rasy obecne istnieją niezmienne już od kilku dziesiątków tysięcy lat, a więc i wszyscy, jako jednostki, istniejemy przez wszystkie te czasy, z małemi odmianami, wywołanemi krzyżowaniem. Jeżeli cofniemy się myślą o dziesięć tysięcy lat po za siebie, znajdziemy na miejscach, gdzie obecnie mieszkamy, wielkie stada ludzkie, napół obnażonych, pokrytych skórami dwunogich zwierząt, z pośród których każde zosobna także mało zwracałyby na siebie naszą uwagę, jak mało jej zwracamy obecnie na każdego barana: baran istnieje tylko jako członek stada, którego ruchy niewolniczo powtarza. Z biegiem czasu odzież i tresura się zmieniły, ale też samo siły zwartości, które niegdyś działały, działają dotychczas — tylko pozory są inne. Aby się o tem przekonać, dość spojrzeć uważnie na sprężyny psychologiczne każdego salonu, każdej koteryi, każdego towarzystwa.

Stada ludzkie podlegały od tego czasu bezustannej ewolucyi, która zasadzała się na wzroście masy i zwartości społecznej, a także na różniczkowaniu tej masy. Wraz z tem zmieniła się świadomość społeczna i wyraz jej — literatura. Ta ostatnia może więc być z punktu widzenia socyologicznego przedmiotem badania naukowego. Należy śledzić — wraz z Posnettom—stopniowe rozszerzanie się życia społecznego od pierwotnego klanu do miasta, od miasta do narodu, od obu do stadyum kosmopolitycznej ludzkości, a także za zmianami w budowie wewnętrznej tych związków, aby znaleźć wyjaśnienie zmian, zachodzących w jego świadomości i literaturze.

Czy to postępowanie wystarcza jednak dla wyjaśnienia wszystkiego w literaturze? Bynajmniej. Świat zwierzęcy przedstawia nam obok związków społecznych typy samotne. Te ostatnie nie podlegają oczywiście tej ewolucyi, którą powyżej nakreśliliśmy, a te jednostki samotne mają w świecie ludzkim wpływ decydujący na rozwój świadomości i literatury. Nawet, znajdując się w zbiorowisku społecznem, typy te zachowują się inaczej, niż inne jednostki. Dzięki nim rozwój literatury postępuje drogami odmiennemi od tych, jakie istniały w ich nieobecności Pomijać ich wpływu nie mamy żadnego prawa i dlatego uważamy twierdzenie Posnetta, iż „teorya wielkich ludzi jest zabójczą dla krytyki," za zupełnie nienaukowe. I owszem, krytyka ma nietylko prawo, ale i obowiązek badania wpływu tych jednostek na równi z wpływem mas na literaturę i tylko wówczas staje się ona naukową. Oba te punkty widzenia łączą się bardzo dobrze — jak to wykazał Brunetière — w ogólnej teoryi ewolucyi zastosowanej do literatury. Dawniejsza teorya „środowiska" (Taine'a) zajmowała się geniuszem o tyle, o ile on zawierał cechy wspólne ludziom danej rasy, danego kraju i czasu; miał on być tylko wyrazicielem ogólnych prądów społecznych. Natomiast Brunetière słusznie wykazuje, iż w geniuszach głównie interesować nas powinno to, czem oni się *różnią* od swego otoczenia społecznego, czem są indywidualni, gdyż od tego właśnie zależeć będzie cały ich wpływ na rozwój literatury i że ten punkt widzenia może być uwzględniony naukowo tylko przez teoryę ewolucyi.

„Pośród przyczyn, zmieniających rodzaje literackie, istnieje jeden: indywidualność, tj. zbiór zalet i wad, które czynią, iż dany osobnik jest jedynym w swym rodzaju, że wprowadza do historyi literatury i sztuki coś takiego, co nie istniałoby bez niego i co istnieć będzie po nim. Dość było nieraz jednego człowieka, aby zmienić bieg naturalny rzeczy. Niema nic zgodniejszego z teoryą ewolucyi — gdyż według niej idyosynkrazye są źródłami wszelkich zmian."

Geniusz nie jest komórką w ciele społecznem, działającą zgodnie z innemi komórkami, lecz ciałem obcem, wywołującem w niem zaburzenia. Gambettę historycy porównywają z wrzodem, który w życiu społecznem Francyi wywoływał ciągłe stany zapalne. Takim właśnie jest geniusz we wszystkich dziedzinach życia: czynu, nauki, sztuki i literatury. Geniusz jest źródłem tej zbawiennej fermentacyi, tych zaburzeń i rozkładów wewnętrznych, bez których wzrost nie może się odbywać. Napróżno wyobrażamy sobie, iż jakakolwiekbądź funkcya społeczna, np. literatura, może się powoli rozwijać i doskonalić bez końca. Każdy organizm ma granicę wzrostu, toż samo każda funkcya społeczna i geniusz jest właśnie tym fer-

*) *Questions de critique*, str. 318.

mentem, tym zarodkiem rozkładu form skrystalizowanych i istniejących, bez którego nowa świadomość wytworzyć się nie zdoła. Każdy agregat zamknięty dąży do nieruchomości, z której wyprowadza go geniusz. Obraża to nas zwykle, iż jeden człowiek posiada taki wpływ na losy całych gromad. Alež jedna iskra wystarcza, aby wysadzić w powietrze całą beczkę prochu. I w danym razie ta iskra jest nie mniej ważna, niż ta beczka. Zresztą ilość osób w psychologii nie ma żadnego znaczenia. Czyż jednostka nie jest dla nas światem tyleż cudownym i tajemniczym, co i stado całe?

Jeżeli pojmować socyologię jako naukę o agregatach społecznych, która oddzielnemi jednostkami, chociażby geniuszów, zajmować się nie może, to ona dla zrozumienia literatury nigdy nie wystarczy. Krytyka, którąby chciała stanąć tylko na socyologicznym punkcie widzenia, nie pojęłaby w literaturze najważniejszych i najgłębszych jej objawów — a te zależą wprost od idyosynkrazyj czysto indywidualnych. Mickiewicz zajmuje nas tylko o tyle, o ile był Mickiewiczem i żadne sofizmaty o tem, iż on tylko głośniej wyrażał to, co inni obok niego czuli i mówili, nie skłonią nas do postawienia na jego miejscu kogokolwiek z jego współczesnych. A ten splot idyosynkrazyi, który stanowi Mickiewicza w odróżnieniu od wszystkich innych istot, należy nie do socyologii, lecz do antropologii. W tej ostatniej nauce należy szukać właściwej podstawy dla krytyki *), socyologia będzie zawsze tylko środkiem pomocniczym. Pisarze powinni rozwijać w sobie nie te strony, któremi są podobni do swych bliźnich, lecz te, któremi od nich się różnią i śmiemy zapewnić, iż tylko w ten sposób i sama myśl społeczna może być uchroniona od zastoju i śmierci. Niechaj każdy z nich będzie jednym i jedynym, jaknajbardziej egoistycznym i ambitnym, gdyż tylko temi czysto osobistemi dążeniami najlepiej spełniają oni funkcyę społeczną, rolę tych fermentów ciągłego rozkładu i palenia się, na których życie polega. Społeczeństwo świadome swych celów tylko tego wymagać od nich powinno i one instynktownie tak czyni, uwielbiając tylko oryginalność.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. J. F. Gajsler: „Dzieje Węgier“ w zarysie (197 str.), z zapomogi Kasy Mianowskiego. E. Wende.

HISTORYA LITERATURY. W. Gostomski: „Historya literatury powszechnej,“ z. 6.

— P. Chmielowski: „Obraz literatury polskiej w streszczeniach i wyjątkach,“ z. 9.

ENCYKLOPEDYA powszechna Orgelbrandа, ze-[illegible]

POWIEŚĆ. A Krechowiecki: „Rdza,“ 2 tomy (291 i 311 str.). Gebethner i Wolff.

— K. Przerwa-Tetmajer: „Anioł śmierci,“ 2 tomy (296 i 235 str.). Gebethner i Wolff.

O PRAWDĘ.

Prawda i prawdopodobieństwo.

(Odpowiedź na artykuł p. Wł. Kozłowskiego: „Pewność sądów“).

II.

Dla sprawdzenia wartości pewników logicznych i matematycznych dość mi każdej chwili zwrócić się do swojej intuicyi, do doświadczenia wewnętrznego; gdy tymczasem dla sprawdzenia wartości twierdzeń empirycznych muszę je wciąż porównywać z doświadczeniem zewnętrznem, które nigdy nie jest wyczerpanem i którego źródło leży po za moim umysłem. O tem, czy dobrze dotąd obserwowano warunki powstawania wody, mogę wątpić bez sprzeczności wewnętrznej; gdy tymczasem o wartości rzeczonych pewników wątpić nie mogę, nie przecząc temu, co mi jest oczywistem. Gdyby mi ktoś twierdził, że z wodą rzecz ma się inaczej, niż dotąd obserwowano, zażądałbym dowodów doświadczalnych, ale nie napotkałbym żadnych przeszkód zasadniczych do porozumienia się z takim umysłem, jak nie napotykam przeszkód do porozumienia się z tym, kto, wobec twierdzenia zoologii, że wszystkie zwierzęta ssące rodzą przez miednicę, odkrył, że u kreta ujście przewodu rodnego omija miednicę. Gdyby mi natomiast ktoś twierdził, że suma dwóch boków trójkąta wydaje mu się mniejszą od trzeciego boku lub że o jednej rzeczy może zrozumiale dla siebie to samo twierdzić i przeczyć z przeświadczeniem prawdy, musiałbym uznać zasadniczą niemożność porozumienia się z takim umysłem, czego jednak nigdy i nikt wśród ludzi nie napotkał.

Przeciwko powszechnej wartości sądów logicznych i matematycznych p. K. przytacza banalny i tyle razy obalany już argument: „o ile mi wiadomo, statystyki pod tym względem nikt dotąd nie przeprowadził.“ Oczywiście nie przeprowadził, taka bowiem statystyka byłaby zgóry niedorzecznością, skoro umysłów o niezgodnej z naszą logice i matematyce nie moglibyśmy ani zrozumieć, ani uznać za umysły, skoro nadto samo wywody statystyczne nie miałyby dla nas sensu, o ile byśmy zwątpili o powszechnej wartości pewników logicznych i matematycznych. Kant już objaśnił, że, gdy mowa o powszechnej wartości pewników, chodzi nie o powszechność statystycznie zagwarantowaną, taką bowiem możnaby zakwestyonować, lecz chodzi o to, że przeczenie wartości tych pewników nie da się zrozumiale i bez wewnętrznej sprzeczności pomyśleć; ale Wundt znów uskarża się na przywilej filozofów wznawiania po stokroć nieporozumień już dawno załatwionych.

Nadto, p. K. jest zdania, że powszechna konieczność i wartość pewników logicznych i matematycznych nie może uchodzić za rękojmię ich pewności, bo „takie kryteryum czysto podmiotowe jest bardzo niepewne i zawodne, jak o tem świadczą liczne przesądy, narzucające się z koniecznością.“ Nie zastanowił się tu krytyk nad tem, że, popierwsze, przedmiotowych kryteryów pewności być nie może; że, powtóre, skoro wiadomo, że pewne twierdzenie jest przesądem, tedy uznanie jego za prawdę przez to samo nie jest już powszechnem; że, potrzecie, o wartości każdego przesądu możemy wątpić bez wewnętrznej sprzeczności, ale o tem, że dwie wielkości zosobna równe trzeciej są równe sobie lub że część jest mniejszą od całości — nie możemy wątpić bez sprzeczności wewnętrznej.

Najbardziej uderzający dowód niezrozumienia natury naszych formuł, zwanych prawami przyrody, złożył p. K. w następujących słowach: „skoro raz zostały oznaczone warunki pewnego zjawiska, sąd dotyczący stosunku jego do owych warunków jest tak samo pewny, jak i każde twierdzenie z geometryi, jak i każdy wniosek logicznie wyciągnięty ze sprawdzonej przesłanki. Oznaczywszy warunki normalne, w jakich promień światła przebywa swą drogę, załamuje się i odbija, możemy być pewni, że w tych warunkach zawsze będzie miał taką samą prędkość i pod takimi samymi kątami będzie się odbijał i załamywał.“ Niestety, o to chodzi, że nigdy nie możemy posiąść rękojmi, iż w rzeczy samej poznaliśmy „normalne warunki“ zjawiska, bo raz poraz tak się okazywało, że warunki przygodne brano za istotne lub istotnych nie dostrzegano, wobec czego formuły domniemanych praw przyrody upadły i każde prawo przyrody jest tem samem zagrożone. Twierdzenie, że w ściśle tych samych warunkach promień światła *zawsze będzie* zachowywał się tak samo, nie jest twierdzeniem fizycznem, lecz jest parafrazą w terminach fizycznych logicznego prawa tożsamości; przytem błędną parafrazą, bo wprowadza warunek czasu, którego logika nie zna. W twierdzeniu fizycznem należałoby wymienić określone warunki określonego zachowania się promienia światła, a w takim razie nie będziemy posiadali rękojmi, że nie włączyliśmy do prawa naszego warunków nie istotnych i nie przeoczyliśmy żadnego istotnego, bo to wymagałoby wszechwiedzy, której nie posiadamy.

To samo bardziej konkretnie i w zastosowaniu do wody, o którą krytykowi chodzi, wyraża Stanley Jevons w swoich *Lessons on Logic* (XXVI): „Czy mogę uważać za bezwzględnie pewne twierdzenie, że woda zawiera jedną część wodoru na dziewięć? Ma się rozumieć mogę, ale tylko pod dwoma następującymi warunkami: 1) żeby takim był niewątpliwie skład badanego okazu wody; 2) żeby wszelkie inne ciało, zwane wodą, było zupełnie podobne do tego okazu.“ Ponieważ jest oczywistem, że obu tym warunkom nigdy nie może stać się zadość i że pod tymi warunkami wyrażone twierdzenie jest tylko parafrazą w terminach chemicznych logicznego prawa tożsamości, więc rzetelne prawo chemiczne może być tylko *prawdopodobieństwem*.

A dalej, wnioski ściśle logiczne, wysnute ze sprawdzonych przesłanek, o tyle tylko mogą być pewne, o ile przesłanki są pewne, że jednak przesłanki empiryczne nigdy nie mogą być tak pewnemi, jak przesłanki logiczne i matematyczne dane w intuicyi pod postacią pewników, więc i wnioski empiryczne mogą uchodzić tylko za *prawdopodobne*.

Na takiej podstawie opieram twierdzenie swoje, że tylko sądy logiki i matematyki są prawdami w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż one jedynie są pewnikami lub twierdzeniami logicznie z pewników wysnutemi. To, co nie jest tak pewnem, iż się nie da bez sprzeczności wewnętrznej zaprzeczyć, nie jest dla nas prawdą, jest tylko mniej lub więcej podobnem do prawdy. Innej cechy prawdy nad zupełną pewność, tj. niemożność zaprzeczenia bez sprzeczności wewnętrznej — nie posiadamy. Wobec tego pytanie, zaprzątające krytyka, co byłoby, gdyby był inny porządek świata i inne w nim umysły, dla których nasze ludzkie pewniki nie byłyby pewnikami, uważam za jałowe, jak ulubione zagadnienie metafizyków na temat „możliwego umysłu“ (*der mogliche Verstand*): możemy mówić z jakiemkolwiek uzasadnieniem tylko o tem, co jest prawdą dla umysłu ludzkiego i poznać, ani zrozumieć zasadniczo innego umysłu nie możemy. Nie moglibyśmy uznać za prawdę tego, co dla nas — ludzi nie byłoby prawdą.

Na to jeszcze p. K. odpiera: „Najznakomitsi logicy stanowczo temu przeczą, twierdząc, że pewniki w niczem nie dopomagają w naszych rozumowaniach, że nie na nich, ale na uogólnieniach doświadczalnych opieramy swe wnioski.“

Być może, nie wiem kogo krytyk uważa za najznakomitszych logików; w każdym razie odpowiadam za takich logików, jak Sigwart, Bain, Wundt, Bosanquet, Bradley, Jevons, Venn i kilkunastu innych, że tego nie twierdzą, bo doskonale rozumieją, że takie twierdzenie obaliłoby nietylko ich logikę, lecz obalałoby samo siebie. Jest oczywistem, że, jakkolwiek wnioski nasze opieramy na uogólnieniach empirycznych, jednak bez pewników żadne wnioski, ani sama logika nie posiadałaby dla nas żadnej wartości.

Odpowiem jeszcze krótko na niektóre zarzuty. Krytyk pisze: „Jeżeli pewniki mają początek naturalny, tj. pochodzą z doświadczenia, to muszą dźwigać na sobie pierworodny grzech wszelkiego doświadczenia, a mianowicie mogą być tylko prawdopodobieństwami. Skoro zaś autor uznaje je za prawdy powszechne i konieczne, to chyba dlatego, że wyznacza im początek nadnaturalny, że źródło ich upatruje poza doświadczeniem. Temu atoli przypuszczeniu sam stanowczo zaprzecza.“ — Początku nadnaturalnego pewnikom nie wyznaczam, bo nie znam granic „natury,“ wskutek czego nie potrafiłbym nadać żadnego określonego znaczenia terminowi „nadnaturalny“; gdyby nawet, jak chce Berkeley, Bóg wytłaczał pewniki w naszym umyśle, byłyby one naturalnemi, bo natenczas Boga uważałbym za jeden z czynników przyrody. Grzech prawdopodobieństwa jest pierworodnym tylko dla sądów uogólniających doświadczenie i ściągających się do doświadczenia, ale grzechem tym nie są napiętnowane pewniki, bo ich nie ściągam do doświadczenia i w intuicyi swojej zaprzeczyć ich nie mogę. Zaprzeczenie ich tak samo jest nie-

*) Por. „Krytyka i antropologia.“ *Prawda* z r. b.

możebne, jak zaprzeczenie tego, że teraz myślę; gdybym zaś mógł na chwilę przeświadczyć się o wątpliwości pewników logicznych, uznałbym myślenie za najgłupsze zajęcie w świecie i w tem uznaniu jeszcze oddałbym hołd logice.

Nadto krytyk utrzymuje, że przypisywanie sądom empirycznym cechy prawdopodobieństwa pochodzi z niedokładnego pojmowania zasady przyczynowości, która według niego oznacza: „stały i niezmienny stosunek do siebie rzeczy, które mocą posiadanych własności oddziaływają na siebie wzajemnie.“ Nie rozumiem, jakim sposobem niezastosowanie fałszywie pojętej zasady przyczynowości, którą p. K. podaje za pewnik, może być źródłem błędu. Zasada przyczynowości nic nie orzeka o żadnem „oddziaływaniu jednych rzeczy na drugie,“ jak roją metafizycy, lecz wprost orzeka o ilościowej równoważności zjawisk stale po sobie w doświadczeniu następujących, orzeka, że zjawiska, które stale po sobie następują i ilościowo są sobie równoważne, są w związku przyczynowym; ale czy dane zjawiska zawsze są sobie ilościowo równoważne, tego trzebaby dowieść, o ile ktoś pragnąłby określonemu prawu przyrody nadać wartość pewnika lub prawdy; dowieść zaś tego nie można, bo doświadczenie nigdy nie bywa wyczerpanem, bo nie posiadamy wszechwiedzy.

I jeszcze jedno. Krytyk powiada: „Cóżby na to powiedziały wszystkie owe systemy spekulacyi filozoficznej, którym pod względem konsekwentności nic zgoła zarzucić nie można, a które pomimo to nie są czem innem, jak wspaniałymi zamkami na lodzie?“ Otóż, niech mi zada sz. krytyk jakikolwiek, dowolny system metafizyczny, a ja zobowiązuję się wykazać mu, że jest niekonsekwentny w sobie i niesprawdzalny, tj. niezgodny z doświadczeniem.

Ad. Mahrburg.

W DALI.

Łódź. Adwokat przysięgły p. Wacław Kloss wniósł na ręce J. O. Generał-Gubernatora warszawskiego imieniem grona przemysłowców, tudzież pracowników przemysłowych i handlowych m. Zgierza, Pabjanic i okolicznych osad fabrycznych — podanie o zatwierdzenie w drodze właściwej projektu ustawy nowego Stowarzyszenia wzajemnej pomocy pod nazwą: „Towarzystwo *Pomoc* w Zgierzu.“ Towarzystwo to objąć ma pracowników przemysłowych i handlowych, m. Zgierza, Pabjanic, Aleksandrowa pod Łodzią i innych osad przemysłowych okolicznych. Ustawa wzorowana jest na ustawach takichże towarzystw pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, subjektów handlowych m. Łodzi, tudzież kasy pomocy wdów po muzykach i artystach. Ustawę tę podpisało kilkunastu założycieli, a między innymi przemysłowcy: pp. Bruder i Długoszewski, A. G. Borst, Hordliczka et. Comp., Napieralski i inni, tudzież kilku majstrów tkackich i innych pracowników.

Mińsk. Na zebraniu Towarzystwa rolniczego p. A. Łętowski podniósł kwestyę starań o rozszerzenie w guberniach zachodnich działalności Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem, udzielającego kredytu rolnikom na warunkach daleko lepszych, niż banki akcyjne. Sprawę przekazano komisyi osobnej, która rozpoczęła swoje czynności pod przewodnictwem p. Kowalewskiego. Istniejąca przy Towarzystwie agentura północnego Tow. ubezpieczeń od ognia przyniosła w r. z. jedynie straty na sumę około 4,500 rs. Skutkiem tego i Tow. rolnicze nie otrzyma zwykłych odsetek. Wogóle zyski Tow. rolniczego na rok przyszły są stosunkowo mniejsze, pomimo, iż liczba jego członków stale wzrasta i sięga już cyfry 650. Obecnie zapisało się na nowych członków 15 osób, w tem dwie kobiety; między innymi wszedł p. Leon Konryw, prezes rosieńskiego Tow. rolniczego w gub. Kowieńskiej.

Petersburg. Towarzystwo aktorskie p. Wołowskiego, które w tych dniach zakończyło już występy w Petersburgu, miało przez cały czas pobytu wielkie, niebywałe dotąd powodzenie. Na każdem przedstawieniu teatr był przepełniony.— W dn. 19 marca otwarto stałą wystawę obrazów w Muzeum nowem im. Cesarza Aleksandra III. Są tam umieszczone w znacznej liczbie obrazy artystów polskich; Aleksandra Orłowskiego (1777—1832), przeważnie krajobrazy, dotąd zdobiące sale Ermitażu i pałacu w Carskiem Siole. Dalej pierwsze prace akademnickie Henryka Siemiradzkiego. Rzeźby Prusa Weleńskiego, Brodzkiego i Celińskiego. Umieszczono także obraz jednego z młodych malarzy, p. Mazurowskiego. — *Prawit. Wiest.* ogłasza: Od roku 1823 do 1897 zesłano na Syberyę 907,244 osoby, w tej liczbie 215,843 osoby, które udały się dobrowolnie jako członkowie rodzin. Od r. 1800 do czasów obecnych liczba zesłanych wynosi przeszło czwartą część teraźniejszej ludności Syberyi, a ponieważ deportacya trwa lat dwieście, zatem większość mieszkańców stanowią albo wygnańcy, albo ich potomkowie. — Minister komunikacyj postanowił, jak donosi *Sibirskij Wiestnik*, wprowadzić na kolei Syberyjskiej z początkiem maja r. b. pociągi kuryerskie. Kursować one mają pomiędzy Petersburgiem a najodleglejszym punktem budowanej kolei przez Moskwę, Rjazań, Rjażsk dwa razy na miesiąc. Wagony zaopatrzone będą we wszelkie najnowsze udogodnienia. W pociągu urządzony będzie bufet z napojami i przekąskami, oraz salon, w którym pasażerowie będą mogli korzystać z rozmaitych rozrywek: czytelni, pianina, szachów, przyrządów gimnastycznych itd. W czasie jazdy można będzie używać łaźni i natrysku. Prawo bezpłatnego przejazdu na te pociągi nie służy. Z rozporządzenia ministra zaniechano projektu urządzenia przewozu na promach pociągów kolejowych przez jezioro Bajkalskie. Natomiast ma być zbudowana kolej wokoło jeziora, co ma kosztować 18 milionów rubli. Celem podniesienia spławu na rzekach syberyjskich zaprojektowano budowę licznych kolei podjazdowych, które łączyć będą miasta i miasteczka, położone wzdłuż rzek, z główną linią kolei Syberyjskiej.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Kuratorya trzeźwości otrzymały przywilej sprzedaży wyrobów tytoniowych w herbaciarniach i kuchniach tanich bez wszelkich opłat patentowych.

— Z powodu wykrycia w ostatnich czasach licznych przestępstw, władza postanowiła zwrócić baczną uwagę na kobiety, zajmujące się po wsiach wychowaniem cudzych niemowląt, oraz na tak zwane „babki,“ praktykujące w okolicach podmiejskich.

— Warszawskie Towarzystwo farmaceutyczne otrzymało ułożony przez pp. Lelejkę, Strożeckiego i Klejna memoryał, dotyczący zaprowadzenia zmian w zajęciach aptecznych na korzyść pracowników. Do rozpoznania projektu Towarzystwo wybrało komisyę, złożoną z pp. Biertümpfla, Huberta (jun.), Klawego, Lewandowskiego, L. Kuśmierskiego, Malinowskiego, Peela, Popiela, Rutkowskiego, Surzyckiego i Treutlera, oraz zaproszonych aptekarzy prowincyonalnych i trzech wnioskodawców.

Szkoły. Ministeryum oświaty orzekło, że kobiety, które uzyskały za granicą dyplomy doktorów medycyny, mogą być dopuszczane do egzaminów łaciny w zakresie kursu gimnazyalnego, dla wyjednania następnie pozwolenia na egzamin lekarski w uniwersytetach rosyjskich.

— Podania studentów uniwersytetu o pozwolenie na związki małżeńskie, roztrząsane dotąd przez ministeryum, będą nadal zależały od rektorów.

— *Nowosti* donoszą, iż ze względów hygienicznych będzie wzbronione używanie gorsetów przez uczenice wszystkich szkół żeńskich.

Kasa literacka. Wydział kasy pożyczkowej i wsparć dla literatów, ich wdów i sierot, przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności, dopełnił w tych dniach wyborów na wakujące urzędy bieżącego trzylecia. Wybrani zastali: na prezesa wydziału p. Antoni Pietkiewicz, na wiceprezesa p. Józef Kenig, na sekretarza p. Julian Heppen, a na członków wybrano pp.: Ludwika Jenikego, Roberta Wolffa, Franciszka Nowodworskiego, Stanisława Libickiego, adw. Antoniego Pileckiego, Władysława Maleszewskiego, Antoniego Jasińskiego, Tadeusza Korzona i Henryka Dynowskiego.

Odczyty. P. Doroszewicz, autor „Sachalinu,“ wygłosił w Odesie odczyt pt. „Zbrodniarze-poeci,“ osnuty na tle życia skazańców. Autor zacytował kilka oryginalnych i pełnych uczucia utworów.

Konkursy. Redakcya *Życia* krakowskiego rozstrzygnęła konkurs na nowele. Drogą wyboru przez sędziów i plebiscytu czytelników osiągnięto rezultat następujący: Nagrodę otrzymał Kazimierz Tetmajer za nowelkę „Pan“; dalsze miejsca po nim otrzymali: Włodzimierz van Roy (pseudonim) za nowelkę „Z obłąkań,“ Michał Daszkiewicz-Czajkowski z Kijowa za nowelkę „Krew,“ Henryk Piątkowski z Warszawy za nowelkę „Kaprys.“

Sąd. Niejaka p. Barbara Akimowa chciała przejść z psem przez ogród Saski. Stróż miejscowy, Wawrzyniec Bidrowski, nie wpuścił psa, co tak oburzyło jego właścicielkę, iż wołając: „ty sam gorszy jesteś od psa polskiego,“ uderzyła w twarz stróża Zelżony, powołując się na świadectwo obecnego przy zajściu generała K. Szemiota, wniósł skargę do sędziego pokoju 10-go rewiru. Wyrok skazujący winną na dwa tygodnie aresztu policyjnego, zjazd sędziów pokoju zatwierdził, odrzuciwszy podaną przez p. Akimową skargę apelacyjną. (*Kuryer War.*)

Posady sądowe. Według projektowanych ustaw, tylko ci prawnicy mogą otrzymywać posady sądowe, którzy odbyli w sądach praktykę dwuletnią i zdali przed komisyą egzamin na kandydata starszego. Wyjątek stanowią adwokaci i profesorowie o ile mają za sobą praktykę 6-letnią.

Koleje i komunikacye. Dla siedzib letnich otwarty będzie w sezonie nadchodzącym nowy przystanek Rozkosz na kolei Nadwiślańskiej, o parę wiorst za Wawrem.

— D. 30 marca otwarto prawidłowy ruch na nowej kolei Łukowsko-Lubelskiej.

— Na kolei Nadwiślańskiej pociągi osobowe biegły dotychczas zaledwie z szybkością 20—25 wiorst na godzinę. Obecnie zaczęto przerabiać wszystkie mosty odpowiednio do szybszego biegu pociągów, oraz zamówiono 6 parowozów osobowych, mogących biedz z szybkością 75 wiorst. Rs. 300,000 przeznaczono na zakup nowych wagonów osobowych, obecne bowiem są przestarzałego typu.

— Kolej Warszawsko - Petersburska nie posiada dotąd toru podwójnego od Pragi do Małkini. W ciągu lata ma być zbudowana druga linia na tej przestrzeni.

— Grono osób interesowanych czyni starania o budowę kolei żelaznej od Chwastowa przez Owrucz do Łunińca, stacyi kolei Poleskich.

— Otwarto ruch na nowej kolei od Jarosławia do Rybińska.

Katastrofa. Przy ulicy Żórawiej pod nr. 38 zawalił się nowy dom jeszcze niedokończony. Jeden mularz śmiertelnie pokaleczony, drugi — lekko. Wypadki takie zdarzają się coraz częściej i uchodzą bezkarnie. Kontrola techniczna niknie we mgle pod wpływem jakiegoś tajemniczego talizmanu, a spekulacya dalej szerzy się potwornie i wytwarza klęskę społeczną. Czy długo tak będzie?

Zmarli. Julian Titius, w Wilnie; lekarz i filantrop. Był honorowym prezesem Towarzystwa lekarskiego w Wilnie. Zjednał sobie powszechny i niekłamany szacunek.

— James Payn, powieściopisarz angielski, w Varrington Crescent pod Londynem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu R. Te. Artykułu Pańskiego nie wydrukujemy, gdyż: 1) pomimo wszystkich krzyków olbrzymiej wielkości Ibsena w żaden sposób dostrzedz nie możemy; 2) pobieżny szkic Pański wcale jej nie nakazuje. Myli się Pan przytem, twierdząc, że nasza prasa pominęła jubileusz Ibsena zupełnem milczeniem, gdyż kilka pism zamieściło artykuły i wzmianki.

3. Wiersz Pański nie posiada wartości artystycznej.

Panu M. B. Nie możemy zamieniać dodatku *Prawdy* na inne książki. Co się mieści w „Pismach“ — wskazują ogłoszenia.

Jednodniówka Monachijska,

pismo artystyczne zawierające utwory z dziedziny malarstwa, literatury i muzyki, wydano w Monachium d. 19-go grudnia 1897 r. jednorazowo na rzecz kształcącej się tamże młodzieży polskiej.

W dziale literatury raczyli przyjąć współudział następujący pisarze: W. Bugiel, Stefan Gacki, Kazimierz Gliński, Konst. Górski, T. T. Jeż. Jordan, Jan Kasprowicz, Marya Konopnicka, Antoni Lange, Miriam, Adam M-ski, Andrzej Niemojowski, Eliza Orzeszkowa, Or-ot, Stanisław Przybyszewski, Edward Porębowicz, Lucyan Rydel, Wład. Reymont, Selim, Ludwik Szczepański, Kazimierz Tetmajer, Wład. Wankie, Kazimierz Wize, Stan. Wyrzykowski, Jan Zakrzewski.

W dziale muzycznym nadesłali swe utwory następujący kompozytorowie: A. Lach, Piotr Maszyński, Władysław Żeleński.

W dziale malarstwa zaofiarowali swe współpracownictwo następujący artyści: Józef Brandt, Olga Boznańska, S. Buchbinder, Władysław Czachórski, Józef Czajkowski, Eug. Dąbrowski, Aleksander Gierymski, Stanisław Grocholski, Em. Jasiński, Leon Kaufman, Alfred Wierusz Kowalski, K. Wierusz Kowalski, hr. OtoliaKraszowska, Soter Jaxa Małachowski, A. Markowicz, Stan. Radziejowski, St. Bohusz Siestrzencewicz, Teofil Terlecki, M. Trzebiński, Władysław Turquer, Wład. Wankie, Feliks Wygrzywalski, J. Wodziński, Jul. Auber.

Zewnętrzna strona wydawnictwa odpowiada najnowszym wymaganiom sztuki reprodukcyjnej.

Jednodniówka Monachijska jest do nabycia we wszystkich księgarniach krajowych.

Składy główne. Warszawa: Księgarnia K. Treptego, oraz Skład materyałów i przyborów artystyczno-malarskich Jul. Burofa. Kraków (i na Galicyę): księgarnia Gebethnera i Sp.; Lwów: księgarnia Polska B. Połonieckiego. Poznań: księgarnia A. Cybulskiego. Kijów: księgarnia L. Idzikowskiego. Petersburg: księgarnia K. Grendyszyńskiego.

Nadto do nabycia: w Monachium: księg. M. Riegera Odeonsplaz 2,) w Berlinie: księg. L. Ebera (Neue Königsstr. 60.)

Cena pojedynczego egzemplarza w handlu księgarskim wynosi: w Ks. Poznańskiem i Niemczech 3 m. 50 f. z przes. 3. m. 85 f.; w Galicyi i Austryi 2 złr. z przes. 2 złr. 25 cent. w Rosyi: 2 rs., z przes. 2 rs. 40 kop.

Prawo przedruku utworów z któregokolwiek działu sztuki zastrzega się.

Stały adres w Monachium: „E. Mühlthaler's Königl. Hof-Buch- u. Kunstdruckerei, Dachauerstrasse. 15, *fur. Jednodniówka Monachijska.*"

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Марта 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.